



# WINNICA



# W I N N I C A

M I E S I Ę C Z N I K I L U S T R O W A N Y  
P O Ś W I Ę C O N Y K O B I E C I E W Ż Y C I U , S Z T U C E I A N E G D O C I E

ZESZYT 3

ROK I

NAKLĄDEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO „ATENEUM“

PRAWA PRZEDRUKU, PRZEKŁADU I REPRODUKCJI ZASTRZEŻONE

ODBITO W DRUKARNI L. S. T. W., LWÓW, UL. LEONA SAPIEHY 77.

<http://rcin.org.pl>

# PIERWSZY KONKURS „WINNICY“

*W szarej powodzi wszelkiego rodzaju banalnych konkursów poetycko-literackich, oklepanych konkursów na oklepane piękności, powtarzanych po kolei przez wszystkie czasopisma i nie będących w stanie zainteresować już nikogo — „WINNICA“ rozpoczyna szereg swych własnych niepraktykowanych dotychczas nigdzie konkursów, dostępnych dla wszystkich jej czytelników bez różnicy płci, urody i uzdolnień literackich.*

*Jako pierwszy w tym szeregu projektowanych konkursów, ogłasza „WINNICA“*

## KONKURS NA NAJPIĘKNIEJSZĄ PRYZGODĘ MIŁOSNĄ KAŻDEGO Z CZYTELNIKÓW LUB CZYTELNICZEK

*z dwiema nagrodami.*

<i>I-sza nagroda w wosokości</i>	<i>1.000 złotych,</i>
<i>II-ga nagroda w wysokości</i>	<i>500 złotych.</i>

### **Warunki konkursu:**

*Nagrodą odznaczony zostanie najpiękniejsza i najoryginalniejsza z przygód miłosnych czytelniczek i czytelników „WINNICY“, bez względu na formę w jakiej zostanie podana.*

*Osoby władające formą literacką mogą przygodę swą oblec w formę noweli, opowiadania i t. p., przyczem przygoda odznaczona nagrodą wydrukowana zostanie na łamach „WINNICY“. To samo dotyczy przygód nagrodą nie odznaczonych, lecz wyróżnionych z pośród innych.*

*Co się tyczy osób nie władających formą literacką, to wystarczy, jeśli podadzą one suche piśmienne streszczenie swej przygody. O przyznaniu nagrody decydować będzie nie forma przygody, lecz wyłącznie sama jej treść. Odznaczone nagrodami przygody ukażą się na łamach „WINNICY“ w opracowaniu kilku wybitnych literatów polskich o głośnych i popularnych nazwiskach, z podaniem nazwiska właściwego jej autora, lub z pominięciem go, na wyraźne tegoż życzenie. To samo tyczy się przygód nie nagrodzonych, lecz wyróżnionych.*

*Osoby nie władające piórem, władające natomiast ołówkiem lub pędzlem mogą najpiękniejszą swą przygodę przedstawić w ilustracjach. O ile będą*

one dość przekonywujące (bez względu na ich wartość artystyczną), odnosi się do nich wszystko powiedziane powyżej.

**Zadnych dowodów rzeczowych, potwierdzających autentyczność przytoczonej przygody czytelnik (czytelniczka) załączać nie są obowiązani.**

Czytelnikom i czytelniczkom, którzy (-re) swej najpiękniejszej przygody jeszcze nie mieli (miały), „WINNICA“ pozostawia trzy miesiące czasu, w przeciągu którego mogą się o nią postarać. Termin nadsyłania kopert upływa bowiem z dniem 1-go czerwca b. r.

W ten sposób pierwszy konkurs „WINNICY“ otwiera się dla wszystkich jej czytelników bez wyjątku.

### **Warunki techniczne konkursu :**

1. Materiał konkursowy w dowolnej formie zamknąć należy w kopercie zaadresowanej do redakcji „WINNICY“: Lwów, Zimorowicza 5 i oznaczonej dopiskiem: Konkurs „WINNICY“.

2. Materiał konkursowy zaopatrzyć należy uprzednio w odpowiednie godło oraz dołączyć doń trzy kupony\*) wycięte z ostatnich numerów „WINNICY“. Zgłoszenia nadesłane bez wypełnienia wymienionych formalności uważane będą za nieważne.

3. W osobnej zaklejonej kopercie, opatrzonej tem samym godłem, która otworzoną zostanie dopiero po rozegraniu konkursu, każdy z autorów i autorek winien podać swe właściwe nazwisko, oraz dokładny adres. Za absolutną dyskrecję Redakcja ręczy słowem honoru. Czytelniczki, nie chcące zdradzać swego incognito mogą poprzestać jedynie na zaznaczeniu swego godła, rezygnując jednak tem samym z otrzymania przesądzonej im nagrody, ponieważ żadne reklamacje napływające po rozstrzygnięciu konkursu uwzględniane nie będą. Osoby nie życzące sobie, aby nazwiska ich, na wypadek wyróżnienia lub odznaczenia, wymienione zostały na łamach „WINNICY“ muszą to sobie wyraźnie zastrzec.

4. Ostateczny termin nadsyłania kopert upływa z dniem 1 czerwca b. r. Rezultat konkursu ogłoszony zostanie w numerze lipcowym „WINNICY“.

Dalsze szczegóły w sprawie pierwszego konkursu „WINNICY“ — w następnych numerach.

**Redakcja „WINNICY“**

---

\*) Kupon I-go Konkursu „WINNICY“ znajduje się na końcu każdego jej numeru.



*Śpi twardo, niby w bajce Guliwera,  
Naga i biała, jak w głazie wykuta.  
Potęgą żądzę, co mi w piersi wzbiera,  
Wcielam się chytrze w postać liliputa  
I rozpoczynam cudowne podróże  
Po białej, ciepłej, aksamitnej skórze.*

*Idę gościńcem miększym od poduszek,  
W boskich kotlinach nurzam się jak żuraw.  
Zwiedzam doliny, gdzie złotisty puszek  
Delikatniejszy od wiosennych muraw  
I te przyłądki słodkie, tajemnicze,  
Skąd płyną ku mnie zapachów słodycze.*

*Nad każdym dolkiem płaczę, niby Filon  
Oczarowany urokiem harmonji,  
Nad białym pępka kraterem pochylon  
Słucham jak krew się przelewa i dzwoni  
W niebieskich żyłkach, które są jak rzeki  
Płynące w przestwór obcy i daleki.*

*A kiedy czuję już w stopach omdlałych  
Znużenie, które wiedzie na manowce,  
Na stokach piersi jej stromych i białych  
Pną się me usta, jak zgłodniałe owce  
Ku owym szczytom, nęcącym z oddali,  
Gdzie odpoczywam na rafie z koralu.*

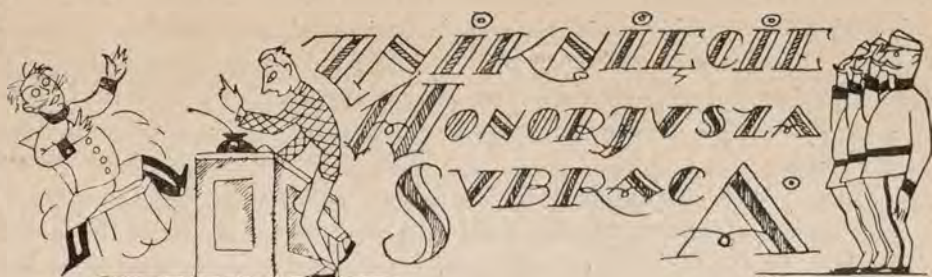
*Po szyji pnę się ku podbródka łące  
I ku jej ustom zdążam bez pośpiechu.  
Tu owiewają mię wiatry gorące.  
Zmysły mi mąci tajfun jej oddechu,  
A więc w różowej, cichej grocie ucha  
Czekam, aż przejdzie straszna zawierucha.*

*A kiedy wreszcie strudzon i znużony  
Pragnę się ukryć w włosów gęstym borze,  
Zwolna podnoszą się jej rzęs zastony  
I w otwartego jej oka jeziorze  
Widzę jakgdyby na fali błękiecie  
Mojej małej postaci odbicie.*

HENRYK ZBIERZCHOWSKI







*Napisał*

**GUILLAUME APOLLINAIRE**

Pomimo najskrupulatniejszych poszukiwań policji nie udało się wyjaśnić tajemniczego zniknięcia Honorjusza Subrac'a.

Był moim przyjacielem, ponieważ zaś wiedziałem o tym wypadku prawdę, uważałem za swój obowiązek zawiadomić o tem policję. Sędzia, któremu zdałem sprawę, wysłuchawszy mego opowiadania, zachował wobec mnie tak przerażającą uprzejmość, że nie trudno było mi się domyśleć, iż brał mnie za warjata. Powiedziałem mu to nawet. Stał się jeszcze uprzejmiejszym i powstając, popchnął mnie ku drzwiom, za którymi zobaczyłem jego pisarza, czekającego w pogotowiu, z zaciśniętymi pięściami, gotowego do rzucenia się na mnie w razie napadu szala.

Nie nalegałem. Sprawa Honorjusza Subrac'a jest doprawdy tak dziwną, że prawda wydaje się niewiarogodną. Dowiedziano się z gazet, że Subrac uchodził za oryginała. Zarówno zimą, jak latem, nosił tylko opończę, i na nogach miał tylko pantofle. Był bardzo bogaty, ponieważ zaś dziwił mnie jego zewnętrzny ubiór, spytałem go pewnego dnia o powód:

— By móc w razie potrzeby prędkiej się rozebrać, — odpowiedział. — Zresztą do wychodzenia mało ubranym prędko się można przyzwyczaić. Świetnie można obejść się bez bielizny, pończoch i kapelusza. Żyję tak od 25 roku życia i nigdy nie byłem chory.

Słowa te, zamiast mnie objaśnić, zaostrzyły tylko moją ciekawość.

— Dlaczegoż — pomyślałem — Honorjusz Subrac musi się tak szybko rozbierać?

I robiłem tysiąc przypuszczeń...

\* \* \*

Pewnej nocy wracając do siebie — była może godzina 1-sza lub kwadrans na drugą — usłyszałem cicho wymówione moje imię. Zdawało mi się, że głos wydobywa się z muru, o który się ocierałem. Zatrzymałem się niemile zdziwiony.

— Czy niema już na ulicy nikogo? — odezwał się głos. — To ja, Honorjusz Subrac.

— Gdzie jesteś? — zawołałem, rozglądając się na wszystkie strony i nie domyślając się miejsca, w którym mógł ukryć się mój przyjaciel.

Ujrzałem tylko jego słynną oponczę, leżącą na trotuarze obok jego niemniej słynnych pantofli.

— Oto wypadek — pomyślałem — w którym konieczność zmusiła Honorjusza Subrac'a do rozebrania się w mgnieniu oka. Nareszcie poznam piękną tajemnicę.

I powiedziałem głośno:

— Ulica jest pusta, mój drogi, możesz się pokazać.

Nagle, Honorjusz Subrac jakby oddzielił się od muru, na którym go nie zauważyłem. Był zupełnie nagi, i przedewszystkiem chwycił oponczę, wdział i zapiał z największym pośpiechem. Obuł się potem i odprowadzając mnie do drzwi, mówił z namysłem.

\* \* \*

— Byłeś zdziwiony! — powiedział. — Teraz zrozumiesz powód dla którego ubieram się tak dziwacznie. Nie rozumiałeś, nieprawdaż, jak mogłem tak zupełnie ująć twym spojrzeniem. To bardzo proste. Przyrodnicy nazywają to prawem mimikry... Przyroda jest dobrą matką. Tym z pośród swych dzieci, którym zagraża niebezpieczeństwo, a które są za słabe, by się bronić, udzieliła daru zlewania się w jedno ze swem otoczeniem... Ale znasz to wszystko sam. Wiesz, że motyle podobne są do kwiatów, że niektóre owady przypominają liście, że kameleon może przybierać barwę, mogącą go najlepiej ukryć, że zając polarny tchórzliwy, jak ten z naszych ugorów, stał się biały, jak krainy lodowe na których tle znika niewidzialny.

W ten sposób wszystkie te słabe zwierzęta wymykają się swym nieprzyjaciołom dzięki przyrodzonemu instyktowi, który modyfikuje ich wygląd.

Ja zaś, którego nieprzyjaciel ściga nieustannie, ja, tchórzliwy i niezdolny do obrony w walce, podobny jestem do zwierząt: siłą woli i przerażenia zlewam się z otoczeniem.

Pierwszy raz doświadczyłem tej właściwości instyktu już przed kilkoma laty. Miałem wówczas 25 lat. Kobiety ogólnie znajdowały mnie miłym i dobrze zbudowanym. Jedna z nich, mężatka, okazała mi tyle przyjaźni, że nie zdołałem się jej oprzeć. Fatalny stosunek!... Pewnej nocy byłem u mej kochanki. Mąż jej wyjechał nibyto na kilka dni. Byliśmy nadzy, jak bóstwa, gdy nagle

drzwi się otwały i zjawił się mąż z rewolwerem w ręku. Przerazenie moje było niewysłowione, miałem tylko jedno pragnienie — byłem już takim tchórzem i jestem — zniknąć. Opierając się o mur, pragnąłem zlać się z nim i ten nieprzewidziany wypadek nastąpił natychmiast. Stałem się koloru tapet, moje członki zaś splaszczwały się i stawały dowolnie i niewytłumaczalnie rozciągle. Zdawało mi się, iż wcieliłem się w mur i, że nikt mnie nie był w stanie widzieć. Tak też było istotnie. Mąż szukał mnie, by mnie położyć trupem. Zauważył mnie, było zaś niemożliwym, bym uciekł. Stał się szalonym i wywierając swą wściekłość na żonie, zabił ją sześcioma strzałami rewolwerowymi wymierzonymi w głowę. Odszedł rozpaczliwie szlochając. Po jego odejściu instynktownie ciało moje powróciło do normalnego kształtu i naturalnego koloru. Ubrałem się i zdołałem odejść zanim ktokolwiek nadszedł...

Tę szczęśliwą właściwość, którą zawdzięczałem prawu mimikry, zatrzymałem odtąd na zawsze. Mąż, nie zabiwszy mnie, poświęcił całe swe życie spełnieniu tego zadania. Oddawna ściga mnie po całym świecie, myślałem, że mu się wymknę zamieszkawszy w Paryżu. Lecz ujrzałem tego człowieka na kilka minut przed twojem przejściem. Dzwoniłem zębami ze strachu. Miałem zaledwie czas na to, by się rozebrać i zlać z murem. Przeszedł obok mnie, przypatrując się ciekawie oponczy i pantoflom pozostawionym na trotuarze. Widzisz więc, jak wiele mam słuszności ubierając się w sposób nieskomplikowany. Mego daru mimikry nie byłbym w stanie wykorzystać, ubierając się, jak wszyscy ludzie. Nie mógłbym rozbierać się dosyć szybko, aby ujść przed moim katem, a rzeczą najważniejszą jest, bym był nagi, aby moja odzież, przyklepiona do muru nie udaremniała mego zbawczego zniknięcia.

Gratulowałem Honorjuszowi Subrac'owi zdolności, której miałem dowody, a której mu zazdrościłem...

\* \* \*

Następnych dni myślałem tylko o tem i przy każdej sposobności chwytałem się na wyteżaniu woli w kierunku zmiany mych konturów i barwy. Usiłowałem zamienić się w autobus, w wieżę Eifel, w członka Akademji, w wygrywającego wielki los na loterji. Wysiłki moje były nadaremne. Nie udawało mi się. Wola moja była widocznie za słabą i brak mi było tego świętego przerażenia, tego groźnego niebezpieczeństwa, które obudziły ten instynkt w Honorjuszu Subracu...

\* \* \*

Nie widziałem go od tego czasu, aż pewnego dnia przyszedł do mnie oszalały z przerażenia:

— Ten człowiek, mój nieprzyjaciół, — powiedział mi — czai się na mnie

wszędzie. Trzy razy zdołałem mu się wymknąć dzięki mej właściwości, ale lękam się, lękam się mój drogi!

Zauważyłem, że zmizerniał, lecz nie powiedziałem mu tego.

— Pozostaje ci tylko jedno, jeśli chcesz wymknąć się tak nieubłaganemu wrogowi, — oświadczyłem — wyjeżdżaj! Ukryj się w jakiejś wiosce. Zaopiekuję się twoimi sprawami, a ty udaj się na najbliższą stację.

Ucisnął mi dłoń, ze słowami:

— Błagam cię, odprowadź mnie. Boję się!

\* \* \*

Szliśmy w milczeniu ulicą. Honorjusz Subrac co chwila niespokojnie odwracał głowę. Nagle krzyknął i począł uciekać zrzucając w pośpiechu opończę i pantofle. Ujrzałem człowieka biegnącego za nami. Próbowałem zatrzymać go, lecz się wyrwał. Trzymał rewolwer wymierzony w stronę Subraca. Ten dosięgnął długiego muru koszar i zniknął, jak zaczarowany.

Człowiek z rewolwerem zatrzymał się zdumiony wydając okrzyk wściekłości i jakby mszcząc się na murze, który zdawał się pochłonąć jego ofiarę, dał kilka strzałów z rewolweru w miejsce, w którym zniknął Honorjusz Subrac. Poczem oddalił się pędem.

Zrobiło się zbiegowisko, przybyli policjanci, aby je rozproszyć. Wówczas zawołałem na mego przyjaciela. Nie odpowiedział mi.

Macałem mur, był jeszcze ciepły i zauważyłem, że z sześciu kul rewolwerowych, trzy utkwiły w nim na wysokości ludzkiego serca, podczas gdy inne obsypały tynk wyżej, w miejscu gdzie zdawało mi się, iż rozróżniam zaledwie dostrzegalne kontury ludzkiej twarzy.





# KOLLEKCYJA LUTZKÓW.



*Napisał*

**HANNS HEINZ EWERS**

Mimi Knaeller zrobiła kolosalną karierę. Rok temu była jeszcze kelnerką w dość podrzędnej kawiarni, ponieważ zaś z napiwkami było krucho, musiała się rozglądać za zarobkiem kilku groszy. W dodatku jej studenci i aktorzy sami mieli djablo mało! — Aż pewnego razu przyszło wielkie szczęście. Pewien porucznik zrobił jej w lokalu scenę zazdrości. Miał już przytem porządnie w czubie i wystrzelił do niej z rewolweru. Uprzytomniwszy sobie w tej samej chwili, co uczynił, drugą kulą przeszył sobie skroń. Ta kula przynajmniej trafiła dzielnie, Mimi otrzymała zaś tylko małą ranę w ramię. Mimi miała dobry węch — z krzykiem rzuciła się na zwłoki swego porucznika, którego nagle szalenie pokochała. Gdy zwłoki przewieziono na dworzec kolejowy — miano je gdzieś przetransportować — Mimi towarzyszyła im również w ślicznej, czarnej sukience, rozdzierająco szlochając. Stanowczo miała talent: niedługo czekała na pocieszyciela. Przystojny baron Hohenthal, drugi *charge d' affaires* przy rządzie francuskim, wziął ją odrazu z dworca na małą podróż poślubną w krainę zmysłów. Baron powrócił wkrótce, Mimi natomiast przyjechała do Monachjum dopiero po roku.

Wówczas nie nazywała się już Mimi Knaeller, lecz Mia le Fracas. Nie wróciła też sama, miała ciotkę, francuską pokojową i torebkę pełną pieniędzy. Była w Baden-Baden, w Interlacen i w Nizy, skąd ją przyjaciółka z tip-top demimonde zabrała do Paryża. Miję lansowano, to też rozumiała wnet ze zdumiewającą pojętnością wymagania i obowiązki swego zawodu. Mała monachijka po wiecznych angiolkach i amerykankach była pewną



odmianą — już po 3 miesiącach skreowała nowy kapelusz, za którym z każdego powozu wyglądała zazdrosna para oczu. Chciała jednak powrócić nad Izarę i znalazła w pewnym *attaché* niemieckiej ambasady, który musiał wrócić do Monachjum, idealnego protektora.

Mia le Fracas miała śliczną willę na Keithstrasse. Prowadziła wielki dom; oficerowie, artyści,

literaci wchodzili tam i wychodzili. Tylko o studentach nie chciała już nic słyszeć. Mia była zachwycającą, protegowała młodych malarzy, urządziła literackie i muzyczne wieczorki, zaznajamiała swych gości z najwybitniejszym z nich Perrin'em, przytem stała gościć u siebie jedną ze swych czarujących paryskich, lub nowo-jorskich przyjaciółek. Jej portret był najlepszy z całej secesji, jej auto najszybsze w całej Bawarii. Od czasów Loli Montez o żadnej kobiecie w Monachjum nie mówiono tyle. Każdy ulicznik mógł opowiedzieć o jej jazdach, każda piękność z Kaufingerstrasse umiała na pamięć jej tualety. Wszystkie kelnerki opowiadały anegdoty i historyjki o Mii, a żadnemu monachijczykowi nie były obce najtajniejsze zakamarki jej willi i serca.

Tylko o pewnej rzeczy nie wie nikt prócz mnie; ponieważ zaś nie chcę, by monachijczycy zbyt mi zazdrościli — prędko o tem opowiem.

Mia miała kolekcję guzików.

Znałem pewną Aspazję we Florencji: wszystkim swoim kochankom obcinała po loku. Miała brązowe, czarne, blond, a także śnieżno białe. Inna piękność, zamieszkująca w Berlinie, ma dużą szkatułkę pełną monet wszystkich krajów; na każdej z nich wryta jest jedna litera. Czarna Ellen Brunkhorst, posiadająca teraz duży tingel tangel w Amsterdamie, ma wielką szafę pełną chusteczek: dużych ze zgrzebnego płótna, miękkich batystowych i jedwabnych. Przeważna część zaopatrzona jest w monogramy, na niektórych widnieją herby i korony, piękne korony siedmio i dziesięciopałkowe.

Mia jednakże nie zbierała ani loków, ani monet, ani chusteczek — ma natomiast kolekcję guzików!

Żaden z jej kochanków nie wie o tem, ponieważ nigdy nie prosi o guziki, kradnie je w tajemnicy, gdy — —

Dawniej robiła to sama, teraz musi to robić Suson, jej pokojowa.

Od niej dowiedziałem się tej tajemnicy. Urodziła się na Montmartrze, znałem ją, gdy była jeszcze dzieckiem i przed naszym kabaretem sprzedawała bukietki fiołków. Jestem jedynym z gości domu Mii, któremu tajemnicę tę opowiedziała.

Stało się to tak: wczoraj chciałem napić się u Mii herbaty, lecz spóźniłem się nieco i całe towarzystwo wyjechało na Teresienwiese.

Byłem zły i kłąłem.

Wtedy Suson zawołała:

„*Si vous êtes bien gentil, je vous dirai quelque chose!*“

„*Quoi donc?*“

Śmiała się — — „*Ach — le secret — le secret — :*

I pociągnęła mnie do buduaru swej pani.

Otworzyła jedną z szaf, przekręciła klucz i wyjęła z niej szkatułkę:

„*Madame a oublié le clef — tiens là — tiens là!*“

Zanosila się od śmiechu.

Otworzyłem. Leżało tam mnóstwo tekturowych krążków, wszystkie obciążone aksamitem, czerwone, niebieskie, żółte i zielone. Na każdym zaś starannie przyszyty był guzik od spodni.

Wyjąłem jeden guzik: „*For gentleman*“ było napisane na nim; to z pewnością jakiś kelner. „*B. D. A. i M. N. Z. O.*“ wypisane było na drugim. Aha: „Bazar dla Armji i Marynarki Niemieckiego Związku Oficerów“ — a zatem porucznik. Później kościany guzik, który z pewnością ozdabiał niegdyś bieliznę, zanim go właściciel nie podniósł do nowej godności po stracie guzika od spodni. To z pewnością był student! „*Gabriel Schöllhorn*“ było na innym. Pierwszy krawiec Monachjum — — w takim razie bankier! — Na brudnym mosiężnym guziku było: „*Fritz Blasberg, majster krawiecki, Telblorg i Br.*“ — ten był właścicielem dóbr i hrabią — było to conajmniej tyle warte, co korony Ellen Brunkhorst. — „*Made in Germany*“ było dewizą innego. Ten z pewnością należał kiedyś do prawdziwego syna Albjonu.

— Był tam też guzik, który już znałem — —

„*Voyez le votre!*“ zaśmiała się Suson.

Brr! — wstydzilem się mojego biednego guzika wśród tylu innych — —  
Nie chcę być niedyskretnym, nie powiem ile ich było, lecz — — — — —

# Historja prowansalska

Napisał

JAN PARANDOWSKI

Wiem, że znajduje się ona pomiędzy kartkami Froissarta. Pamiętam ją i dotychczas dzwonią mi w uchu łamane okresy starofrancuskiego stylu. Uczciwość nakazywałaby zajrzeć do biblioteki, rozłożyć przed sobą tomy tego sławetnego dziejopisa i sprawdzić, jak to z tem wszystkim było właściwie. Ale nie mam dziś ochoty okazać się ścisłym i wolę się oddać na łaskę własnej pamięci i domyślności. *Incipiam:*

Wielce szlachetny baron z Broussillon, imieniem Rajmund miał za żonę najpiękniejszą kobietę tych czasów, którą zwał Małgorzatą. Dworna, miła w obejściu, dla wszystkich uprzejma, odznaczała się Małgorzata, z domu szlachetna de Rassignac, cnotą nieporównaną. Około roku 1180 przybył na dwór Rajmunda szlachetny Wilhelm de Cabstaing, któremu zbyt ciasno było na ubogim zameczku ojcowskim, pośród siedmiorga rodzeństwa. Monsignor Rajmund, widząc doskonałą ogładę rycerzyka, przyjął go chętnie, dał mu zamieszkać u siebie i uczynił swoim przybocznym giermkim. Ale wkrótce odmienił cel jego służby i Wilhelm, któremu miła powierzchowność i godne wyróżnienia serce jednały wszystkich — został paziem madonny Małgorzaty.

Zdarzyło się jednak, że Amor, krnąbrny synalek pani Wenus, zbyt troskliwie zaopiekował się spokojnem serduszkim wielce szlachetnej baronowej na Broussillon. Madonna Małgorzata jęła od tej pory baczniej, niżli należało, zważać na lube słowa i miłe uczynki szlachetnego Wilhelma, a śledzić z rosnącym uczuciem jego nadobną powierzchowność. Gdy więc raz szli przez żółte ścieżki ogrodu, madonna Małgorzata rzuciła kwiatek, który niosła w dłoni, a kiedy go paź jej podał, przyklękając na jedno kolano, rzekła:

— Powiedz mi, Wilhelmie, czy odważyłbyś się kochać kobietę, któraby ci dała poznać swoją miłość?

Wilhelm nie zmieniając przyklękiej postawy, obrócił ku niej śmiało swe oczy niebieskie i odpowiedział:

— Tak, pani. Bylebym wiedział, że pozór, który widzę jest prawdą, której nie śmiem przeczuwać.



Madonna Małgorzata odeszła na pokoje, a Wilhelm stał się zamyślonym, albowiem Amor wypowiedział mu wojnę. To zaś co myślał w milczeniu, oddawał głośno w piosenkach, które były tak udatne, że je wnet cały dwór śpiewał w chwili, gdy struny cytry drgały pod zręcznymi palcami panny Barbary. Słyszała te pieśni madonna Małgorzata i serce jej czyniło się wezbranem.

Pewnego dnia przyzwała do siebie Wilhelma i rzekła:

— Luby mój paziu, spojrzij mi w oczy i powiedz, zali pozory moje ukrywają prawdę?

A Wilhelm:

— Pani! Odkąd z woli wielce szlachetnego barona Rajmunda objąłem u stóp twych moje służby, ani razu nie powstała we mnie myśl, aby twoje czyny i słowa mogły być kłamliwe. W to wierzyłem i wierzyć będę przez całe życie. Tak mi Panie Boże dopomóż!

A madonna Małgorzata:

— Wilhelmie! świadczę się Bogiem, którego imię jeszcze drży na twych wargach, że nie zawiedziesz się na mnie i że myśli twoje nie będą daremne. I że to siedzieli sami w oddalonej komnacie, natychmiast rozwarła ramiona i uścisnęła go słodko, poczem zaczęli czynić miłość.

Znaleźli się wszelako oszczercy, których niechaj Bóg zgromi swym słusznym gniewem — i ci nie powstrzymali się od tego, aby przebąkiwać o miłości madonny Małgorzaty, dając dziwne wyjaśnienie piosenek Wilhelma de Cabstaing. W ten sposób rzecz doszła do uszu barona Rajmunda. Strapił się on wielce zarówno hańbą swej żony, jak i konieczną stratą tak doskonałego giermka. Wiedział jednak, co mu czynić należy, więc wziął broń, dosiadł konia i pojechał za Wilhelmem, który dnia tego udał się na polowanie. Kiedy go Wilhelm spostrzegł, nie okazał ani zdziwienia, mimo że był zdumiony, ani niepokoju, mimo że serce jego zasnuło się złowrogimi myślami. Pospieszył na jego spotkanie i rzekł:

— Pozdrawiam cię, panie.

Zasie monsignor Rajmund:

— Szukam cię, Wilhelmie de Cabstaing. Chcę się z tobą zabawić. Czy nic dotychczas nie upolowałeś?

Wilhelm powiedział, że nic. Wtedy Rajmund odciągnął go daleko w las i gdy stanęli:

— Przez posłuszeństwo, któreś mi winien — rzekł — odpowiedz mi, wierny mój giermku, szczerze na jedno pytanie.

— Na Boga! — zawołał Wilhelm — jeżeli to będzie jakaś z tych rzeczy, o których można mówić, odpowiem ci z całego serca, panie!

A wielce szlachetny Rajmund:

— Jeśli ci miły Zbawiciel i jego święta wiara, odpowiedz, czy masz kochankę, którą sławisz w pieśniach i do której niewoli cię miłość?

A Wilhelm de Cabstaing:

— Panie mój! Jakże mógłbym śpiewać, gdybym nie ulegał słodkiej przemocy Amora?

A Rajmund de Broussillon:

— Chciałbym jednak wiedzieć, kto jest twoją damą.

Na to pytanie wzdrygnął się Wilhelm de Cabstaing. Wszak nie godzi się wymieniać swej damy i Bernard de Ventadour, mistrz wszystkich zakochanych śpiewaków, wyraźnie tego zabrania. Rajmund de Broussillon, widząc wahanie Wilhelma, dał mu słowo rycerskie, że tajemnicę jego zachowa i że usłuży mu wedle mocy swojej. Wtedy rzekł giermek:

— Wiedz zatem, panie, że kocham siostrę pani Małgorzaty, nad wyraz wszelki cudną madonnę Agnieszkę.

Potem dodał:

— Serce mi mówi, że posiadam jej wzajemność. Ufam, że mi dopomożesz, panie.

A Rajmund z Broussillon, który z trudem ukrywał radość, dał mu rękę i rzekł:

— Chcę, abyśmy się natychmiast udali do jej zamku, który jest stąd niedaleko.

I pojechali do zamku de Liet. Przyjął ich uprzejmie pan Robert z Tarrasconu, mąż madonny Agnieszki. Po powitaniach, wielce szlachetny Rajmund wziął za rękę madonnę Agnieszkę i zawiódł ją do komnaty i usiadł z nią na łożu. I nie puszczając jej dłoni rzekł:

— Przez posłuszeństwo, któreś mi winna, powiedz, bratowo, czy kochasz?

A madonna Agnieszka:

— Zaiste, panie.

— Powiedz mi jeszcze i to: kogo kochasz?

— O, panie! Tego ci nie mogę powiedzieć i słowa twoje mnie dziwią.

Ale, gdy nalegał domyśliła się wszystkiego. Nie uszło bowiem jej uwagi smutne zamyślenie Wilhelma. Powiedziała więc, że wybranym jej serca jest rycerzyk z Cabstaing. Rajmund ucieszył się bardzo. Wyszli z komnaty. Pani Agnieszka powiedziała wszystko mężowi i ten ją pochwalił. Dał jej słowo, iż pozwala czynić jej wszystko, co może uratować Wilhelma. Agnieszka postąpiła tak, jak jej nakazywała szlachetność serca. Zawołała Wilhelma do swojej komnaty i bawiła z nim tam przez czas dość długi. Rajmund cieszył się, że giermek jego zażywa rozkoszy z damą swego serca. Wierzył teraz, że wszystko co przedtem mówiono, nie było prawdą. Kiedy Agnieszka i Wilhelm wyszli z komnaty, zastawiono obiad i bawiono się wesoło. Przy puha-

rze Wilhelm śpiewał swoje pieśni. Na noc Agnieszka posłała łóżko w pobliżu drzwi swoich i oboje tak dobrze udawali, że Rajmund znów uwierzył, iż spali razem.

Nazajutrz, po śniadaniu Rajmund i Wilhelm odjechali, żegnani na moście zamkowym przez imię pana Roberta z Tarrasconu i madonnę Agnieszkę. Skoro przybyli do Broussillon, Rajmund natychmiast poszedł do madonny Małgorzaty, swojej żony, i opowiedział jej historję Wilhelma i pani Agnieszki, jej siostry. Madonna Małgorzata płakała przez całą noc. A gdy ją zrana paż przyszedł powitać, nazwała go zdrajcą. Wtedy Wilhelm wyznał podstęp. Pani Małgorzata posłała do pani Agnieszki z zapytaniem, czy to prawda. Pani Agnieszka powiedziała, że tak. Madonna Małgorzata oddała znów serce w ręce pazia, który tego samego dnia ułożył pieśń na cześć swej damy i zaklinał się w śpiewnych wierszach, że nikogo nigdy prócz niej nie kochał. Wieczorem pieśń tę powtarzano po wszystkich pokojach zamku Broussillon.

Na drugi dzień baron Rajmund wywołał szlachetnego Wilhelma z Cabstaing na oddaloną rozmowę. Gdy byli daleko od zamku, Rajmund dobył miecza, uciął głowę Wilhelmowi i schował ją do torby. Wyjął z ciała serce i również zabrał. Wróciwszy, kazał usmażyć serce i zanieść je madonnie Małgorzacie. Kiedy je spożyła, Rajmund powiedział, że to co zjadła było sercem pana Wilhelma de Cabstaing, jego giermka a jej pazia. I zapytał, jak jej smakowało. Madonna Małgorzata złożyła na piersiach liljowe ręce i rzekła:

— Panie! Było ono tak wymienite, iż żadne jądło nie zetrze z moich ust jego smaku.

Wtedy Rajmund rzucił się na nią z mieczem. Madonna Małgorzata, uciekając, spadła z balkonu i rozstrzaskała sobie głowę na dziedzińcu zamku Broussillon.

\* \* \*

W kilka dni potem dowiedziano się o wszystkim na dworze króla Aragonji. Król Alfons i wszyscy jego wasale opłakiwali śmierć szlachetnego Wilhelma de Cabstaing i nadobnej madonny Małgorzaty. Postanowili ruszyć zbrojnie na zamek nędznego Rajmunda. Zdobyli zamek, a schwytanego barona Rajmunda zamęczył król w więzieniu, dobra zaś jego rozdał między krewnych Wilhelma i jego damy. Ciała kochanków kazał król pochować w grobowcu, wzniesionym przed bramą kościelną w zamku Perpignac. Po całej Katalonji i wszystkich ziemiach króla aragońskiego modlić się będą za ich dusze wszyscy, którym święty jest zakon Miłości.

## *Karetka kurtyzanki*

*Karetka kurtyzanki, by damy spleen rozproszyć  
Zajeżdża z gór na plażę. — Stangrecie z kozła złaż! —  
Chcąc nóżek nie przemoczyć, daj wprzód je okaloszyc.  
Kustoszem zdrowia damy niech będzie młody paż.*

*Wysmukłym muzykantom kazano się odznaczyć —  
Maestro, wlej w mazurek płynnego słońca litr!  
Czy zdoła serce damy błyskami ozygzaczyć  
Orkiestra hotelowa w sześć melodyjnych cytr?*

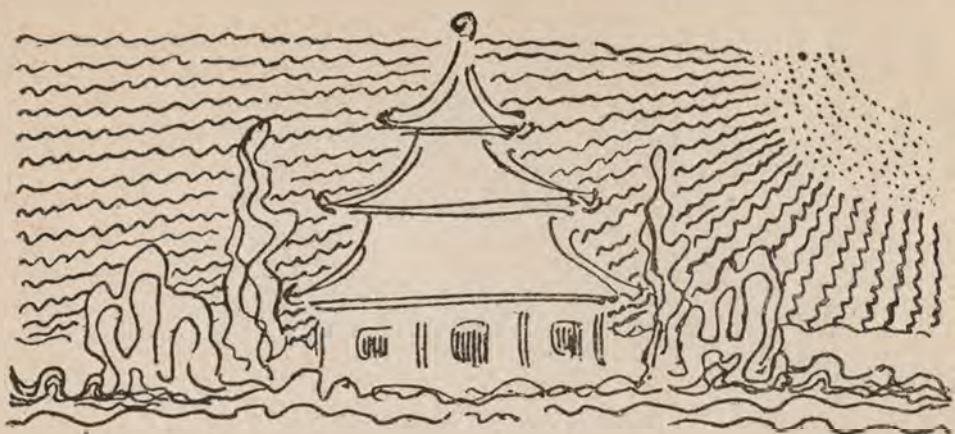
*Cylindry słonecznieją nad czarnych rond obwódka  
I tualety kobiet spędzają nudę z min.  
Rozśmianej kurtyzance wtóruje słońce rzutko. —  
Jak słodko przy bufecie pić crème de mandarine.*

*Stangrecie, o cóż chodzi? Nie pozwól samej iść jej.  
Kelnerze, zaaranżuj five o'clock à la carte!  
Karetka kurtyzanki co krok, co krok spadziściej  
I paż do stóp swej damy przytulił twarz, jak chart.*

*Przełożył*

*B. J.*





## Chiński wachlarz

Działo się za panowania przemądrego Wei-Hi, którego imię niech będzie pochwalone.

Był cmentarz. Nad jednym z grobów stała pochylona kobieta. Musiała być piękną albowiem linia jej przegiętego ciała posiadała ów nieuchwytny wdzięk, który budzi pożądanie. Przypadek sprowadził w to samo miejsce pewnego wielkiego filozofa. Badając nieustannie przyczyny i skutki wszystkich rzeczy jak każdy filozof był wszystkiego ciekawy. Na widok kobiety zatrzymał się zdziwiony. Nie stała bowiem ona beczynninie, lecz bez przerwy wachlowała świeżą ziemię mogiły. Filozof zbliżył się i rzekł:

— Promieniu jutrzeńki! pozwolisz, że zapytam, jaką świętą czynnością trudzisz swoje drobne ręce?

Jednocześnie sam się nachylił nad grobem i starał się wyrozumieć jej dziwne zajęcie. Ale nie rozumiał. Dodał więc:

— Pozwala mi zadać ci to pytanie moje stanowisko. Jestem filozofem i jeśli rzecz, którą tu widzę okaże się godną tego, zapiszę ją na zwitku papieru, nieodstępnym mym towarzyszem.

Dama odpowiedziała niewyraźnym mručeniem i na skośne oczy opuściła długie ciemne rzęsy. Zawiedziony filozof, którego ciekawość raczej się wzmogła, a któremu delikatność wrodzona wszystkim synom Niebieskiego Państwa nie pozwalała nalegać, miał już odejść grzecznie, gdy w tem zbliżyła się doń służąca:

— Światło ziemi! — przemówiła. — Słyszałam pytanie, jakie czcigodne usta raczyły zwrócić do mojej pani. Pragnę zaspokoić twoją ciekawość, a nie wątpię, że ty, krynico mądrości, dopomożesz mi uzupełnić sumę, potrzebną na zakupno trumny, którą człowiek mojego stanu powinien mieć zawsze gotową.

To jest żona wielkiego mandaryna. Kochała swojego męża tak, jak on ją kochał, chcę powiedzieć: w sposób nie dający się opisać. Oto dlaczego nieboszczykowi tak trudno było odejść z tego świata. Zwlekał z tem bardzo długo i był niepokieszony w chwili śmierci. Gdy umierał, żona jego, tu obecna, wzywała na świadków niebo i ziemię, że nie przeżyje straty ukochanego. Przysięgała, że wrychle sama stanie się szkieletem, a najpewniej pójdzie do klasztoru buddyjskiego, bo myśl o innym mężczyźnie jest jej wstrętna.

Lecz zmarły nie żądał tak wiele. Prosił tylko skromnie o przyrzeczenie, iż nie zapomni o nim, dopóki ziemia nie przyschnie na jego mogile. Moja pani zakłęła się wielkiem zaklęciem i omal nie umarła, gdy dobry pan zamknął oczy. Pochowała go, jak należało, a po pogrzebie odeszła do swego pokoju, gdzie płakała noc całą. Rano przyszedł jeden z uczniów zmarłego, aby jej powiedzieć, jak dalece podziela jej boleść. Był to młody Weng-Tsen, najpiękniejszy mężczyzna w całym mieście. Rozmawiali długo. Weng-Tsen mówił o nieboszczyku, potem jeszcze więcej o niej samej. Ponieważ w czasie rozmowy patrzył na nią bez przerwy, odczuł nagle, że ją kocha i nie mógł się powstrzymać, aby jej tego nie objawić. Żegnając się oświadczył, że trudno mu sobie wyobrazić, iżby żył dalej, nie będąc przy niej.

W tej chwili właśnie ma nadejść. Moja pani go oczekuje i skraca sobie czas, wachlując ziemię. Okrutnie mi na tem zależy, aby jej udało się osuszyć mogiłę jak najprędzej. Nie chciałabym, żeby moja pani popełniła krzywoprzysięstwo....

Filozof rzecz całą, wróciwszy do domu, spisał i dzięki temu przechowała się ona do dziś w „Księdze opowieści“ *Tsai-King*. Godzi się zaznaczyć, iż historia ta stanowi ciekawy pendant do słynnej „Matrony Efezkiej“, tylekrotnie pojawiającej się w literaturze grecko-rzymskiej, a opowiedzianej z wielką gracją w „Satyrikonie“ *Petronjusza*.





*Napisał*

**CLAUDE FARRÈRE**

Tych trzydzieści śmiertelnych sekund, stanowiących owe pamiętne pół minuty, ja — Henryk Percy, porucznik marynarki, komendant statku wojennego „Nereida“ — liczyłem jedną po drugiej i mogę śmiało powiedzieć, iż nie byłbym w stanie ich przeżyć powtórnie w tych trzydziestu latach życia, jakie mię jeszcze prawdopodobnie oczekują.

Mówię dziś o tem pamiętnem dla mnie zdarzeniu po raz pierwszy. Upłynęło już od tego czasu dwanaście a może i trzynaście lat. Wyjaśnię niebawem, dlaczego przez cały czas nigdy o tem nie wspominałem, a dzisiaj właśnie chcę się z tego zwierzyć.

Upłynęło więc — jak wspominałem — od tego czasu dwanaście, a może i trzynaście lat. Byłem wówczas małym, pięknym chorążym — trudno wam to sobie dziś wyobrazić, wiem o tem. — Twarz moja jest dziś szorstka i zeszpecona przez wiatry morskie i burzliwe przejścia — ale wówczas byłem istotnie piękny. Kobiety spoglądały na mnie chętnie i miłośnie.



Jedna z nich popatrzyła na mnie pewnego dnia inaczej, głębiej niż inne. Nie było to oczywiście dla mnie wcale rzeczą nieprzyjemną. Wyobraźcie sobie najsubtelniejszą i najcudniejszą istotę pod słońcem, wysoką, smukłą, bladą, o rękach Madonny i włosach Dzieciątka Jezus. Byłbym dla niej przejęty najgłębszym szacunkiem, gdyby mię nie ośmielały jej usta — czerwone, jak krew — i para przepastnych, gorejących, niebieskich oczu, budzących we mnie cudowne wizje nieznanych szaleństw i bezpamiętnych upojen. Krótko mówiąc: zakochałem się, jak to mówią, na zabój w pani — nazwijmy ją: pani de Tremières.

I z czasem stwierdziłem, że jej oczy i usta — tyle obiecujące — nie kłamały. Podróżowałem już przecież niezmiernie dużo, więcej aniżeli każdy przeciętny śmiertelnik. Poznałem już w życiu bardzo wiele kobiet należących do t. zw. ras ognistych. Z żadną jednak nie zaznałem tyle rozkosznych upojen, ile dała mi ta Paryżanka, która istotnie opromieniła moją młodość. Nie, stanowczo nigdzie, ani u Sycyljanek, w których żyłach zda się płynąć, nie krew, lecz wulkaniczna lava, ani u Malajek, mieszkanki Kuby, Peru, Maoris, stanowczo nigdzie.

Moja przyjaciółka podobała mi się do szaleństwa właśnie taką, jaką była. Była nawet o kilka lat starszą odemnie, ale niech mię лихо porwie, czybym był mógł coś podobnego przypuścić, gdyby nie małe, 14-letnie dziewczątko, którego legalną matką była przecież pani de Tremières. Obie były do siebie niezmiernie podobne, zwłaszcza z oczu i ust. Zazwyczaj, gdy mowa o 14-letniej córce, wyobrażamy sobie przynajmniej trzydziestoletnią matkę. One natomiast, gdy na kogo równocześnie spojrzały albo uśmiechały się czarująco, robiły wrażenie dwu sióstr: dwudziesto i dwudziestopięcioletniej — tak niezmiernie podobne były do siebie te djabelskie oczy, te piekielnie czarujące usta...

Wszystko to uprzytamniam sobie zupełnie wyraźnie jeszcze dziś, po trzytym nastu latach. Wierzajcie mi, nie przemawia przezemnie fantazja. Powtarzam: byłem młodym chorążym, zupełnie normalnym, zdrowym na ciele i duszy, ba — nawet — cnotliwym. Najszczęśliwszym zaś byłem wówczas, gdy mogłem całować i pieścić jeszcze młode i wiecznie piękne ciało mej ukochanej.

Co się tyczy córki, to liczyłem się z nią tylko o tyle, że w jej obecności musiałem bardziej nad sobą panować i tłumić moje afekta ku matce. Kilkakrotnie zastanawiałem się nad tem, czy dziecko to, ta dorastająca kobietka już się czegoś nie domyśla? Ale nie, nie, na to mógłbym przysiąc. Lecz, jak należało uśpić jej czujną i bystrą uwagę? Często byłem świadkiem, jak chwytała matkę w objęcia i okrywała ją tysiącnymi pocałunkami. Stosunek, jaki istniał między nimi, przekraczał granice zwykłej troskliwości macierzeńskiej i pieczyotliwości kapryśnego dziecka. Z jednej

strony widziałem szalone uwielbienie, z drugiej nieomal bałwochwalstwo. I nie bez pewnej obawy myślałem o tej straszliwej katastrofie, jaką stać się mogło dla tego wielkiego dziecka odkrycie, stosunku mego z jej matką. Katastrofa — tak! Bo matka jest bożyszczem, świętem, nietykalnym bożyszczem, umieszczonem na wysokim — bardzo wysokim — piedestale w świątyni ze szczerego złota. A zstąpić z tego piedestału bożyszczę nie może — może natomiast runąć i rozprysnąć się, jak szkło na tysięczne odłamki. Dziewczę miało na imię Izabella, 22 lutego kończyło właśnie 15-ty rok.

Zimę ową spędzała pani de Tremières wraz z córką w Cote d'Argent. Zamieszkały w pierwszorzędnym hotelu Biarritz.

Ja zjechałem tam również na krótki urlop. Zamieszkałem w mej małej willi sąsiadującej z jej hotelem.

Na cześć św. Izabelli i naszej małej solenizantki, zamówiłem dla nas trojga kolację. Dziecko oszołomione gwarem, światłem, muzyką cygańską i słodkim upajającym szampanem, było zachwycające. I my, to jest: jej matka i ja, pod wpływem tej kipiącej wesołości, tego oszałamiającego humoru zapomnieliśmy na chwilę o miejscu, porze, otoczeniu — — — krótko mówiąc, odprowadziłem moich gości, jak przystało, do ich pokoi hotelowych, sam jednak nie wróciłem do domu, jak zazwyczaj, lecz przeczekałem kilkanaście minut w korytarzu, poczem, zbliżywszy się do drzwi kryjących mą ukochaną, lekko zupukałem. Drzwi otwarły się natychmiast...

Co nastąpiło potem — mogłoby ostatecznie interesować tylko młode dziewczęta. Wystarczy, że nadmienię, iż po pewnym — dość długim zresztą — czasie, byliśmy już cokolwiek zmęczeni, a pokój — scena naszych szalonych burzliwych upojeń, nie przedstawiał się w zbytym porządku. Była chwila, w której moja ukochana udała się — zupełnie nago — do lustra, ja zaś usiadłem — również bez żadnego okrycia — na krześle i zapaliłem papierosa.

I właśnie w tej samej chwili okrutny los zdobył się na to, by — zapukać do drzwi trzykrotnie paluszkami młodego dziewczęcia, do drzwi — niezamkniętych!

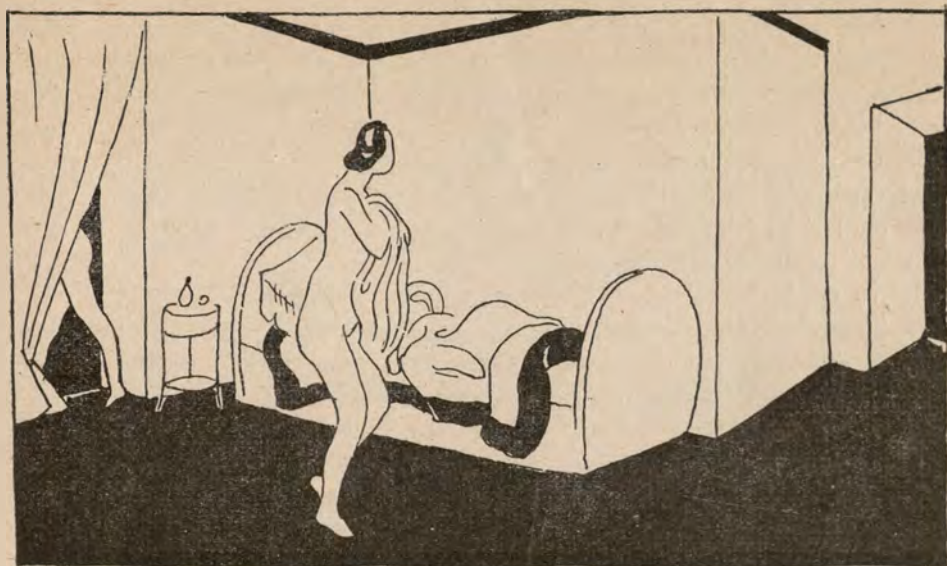
Z zewnątrz zaś dolatywał słaby głosik:

— Mamusiu, moja, czuję się bardzo źle. Czy mogę wejść? Muszę zażyć pastylek migrenowych.

Wówczas rozpoczęła się pierwsza z owych epokowych trzydziestu sekund, o których na wstępie wspomniałem.

Staliśmy naprzeciw siebie z rozszerzonymi oczyma, skamieniali z nieopisanej grozy. Straszliwe drzwi nie otwarły się — jeszcze nie. Ale nasze milczenie musiało przecież wywołać katastrofę — dziecko nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi — bezwątpienia drzwi otworzy — — —

Widocznie nadmiar przestraszu udzielił pani de Tremières precudownej



siły postanowienia. Chciała ruszyć się z miejsca i zrobiła to z trudem. Wreszcie wyjąknęła:

— To ty, Belo? Czekaj, moje kochanie, zaraz ci otworzę!

Chwiejąc się na nogach zbliżała się do drzwi, wskazując mi rozpaczliwym ruchem ciężkie kotary przy oknie.

Ubranie moje było porzucane po podłodze. Pani de Tremières udało się je jednym gwałtownym ruchem cisnąć pod łóżko. Ja prawie przykucnąłem wśród gęstych fałdów zasłony, u góry — na szczęście! — mocno przytwierdzonej. Słyszałem lekki szelest gwałtownie ubieranej sukni, mającej okryć tak bardzo w tej chwili wstydlive ramiona.

Drzwi się otwały, dziewczętko weszło.

I teraz zaczęły zwolna upływać te paraliżujące sekundy. Mała weszła, aby zażyć pastylek migrenowych, ale nie oddalała się nawet po ich zażyciu. Podczas tej nieskończonej długiej wieczności słyszałem jej drobne kroki we wszystkich kątach pokoju, tu i ówdzie. Dwa razy musnęła moją zasłonę, wprawiając ją w lekkie falowanie. Skarżyła się słabym głosikiem i błagała o uspokajające pieszczoty matczyne. Szampan, po raz pierwszy w życiu wypity, ciążył jej w głowie. Pozatem dużo szczebiotała; przeżywała na nowo ten tak pamiętny dla niej dzień, omawiała otrzymane podarki, kolację, orkiestrę cygańską, mnie a wkońcu snuła plany na dzień następny. Matka, ogarnięta obywatelną grozą, siedziała, jak skamieniała nie odpowiadając ani słowem.

Wkońcu dziecko zaniepokojone cokolwiek milczeniem matki, odezwało się:

— Ależ mamusiu, co ci? Czy czujesz się tak niedobrze? Takaś dziwnie zmieniona, takaś blada? Może mam otworzyć okno?

Ta sekunda była najstraszliwszą. Lekkie kroki zdążyły wprost ku mojej kryjówce. Instynktownie starałem się zakryć rękoma moją nagość, by przynajmniej tego widoku dziecku zaoszczędzić.

Ale matka w porę zdobyła się na siłę i krzyknęła:

— Nie! Nie! Nie otwieraj! Przeciwnie — zimno mi.

Straszliwe kroki zatrzymały się.

Był to koniec mojej męki. Dziecinny głosik odpowiedział:

— Zimno ci! Musisz więc, kochana mamusiu, natychmiast iść do łóżka. Szybko, szybko, szybko! Już idę. Dobranoc!

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, który był zarazem ostatniemi oddźwiękiem — trzydziestej sekundy. Wychodząc z pod draperji, byłem starszy o dobrych — nie, o gorzkich, ciężkich trzydzieści lat.

Obecnie pani de Tremieras przebywa w Rio de Janeiro. Jej córka, już oddawna zamężna, wysłała mi tamtego miesiąca kartkę z życzeniami świątecznymi, nadaną w Sidney, w Australji. Kartkę tę otrzymałem dziś rano.

Rozumiecie zatem dlaczego właśnie dzisiaj opowiedziałem Wam tę historję, oczywiście w formie anonimowej, czego chyba nikt za niewłaściwe wziąć mi nie może.

Przełożył

SZYMON BIER



# Przygoda Anatola France'a

Były sekretarz wielkiego pisarza p. Jan Jakób Brousson ogłosił przed paru miesiącami, wnet po śmierci Mistrza, książkę p. t. „Anatol France w pantoflach“, która osiągnęła niezwykle powodzenie — nakład doszedł prawie do stu tysięcy egzemplarzy. Książka ta zawiera rozmowy z Francem i drobne obrazki z jego intymnego życia. France, wrażliwy na wdzięki kobiet, zbyt często wyzyskiwał swe olbrzymie znaczenie na zdobywanie tych „chwil zapomnienia“, które nazywał jedynem dostępnem dla człowieka szczęściem. Nie biorąc udziału w pracach i życiu Akademji Francuskiej, zasłaniał się jej autorytetem przed natręctwem władz bezpieczeństwa. Albowiem Akademia i jej członkowie mogą drwić z kodeksu karnego. Żądacie przykładu?

— Onego czasu — opowiada France — sprawiałem sobie rozrywki sielskie z pewną damą, niezbyt oporną, którą, jakby nimfę, odkryłem w jakimś ustroniu Lasku Bułońskiego. Jestem trochę krótkowidzem i nie jestem dość zręczny w ukrywaniu swych namiętności. Zbyt mało zważam na pozory i brak mi, niestety, największej cnoty społecznej — obłudy. Siedząc na ławce z moją współpracowniczką, zabawiałem się poprostu i niewinnie. Nagle staje przedemną coś w rodzaju żandarma, coś dzikiego i niesamowicie aroganckiego:

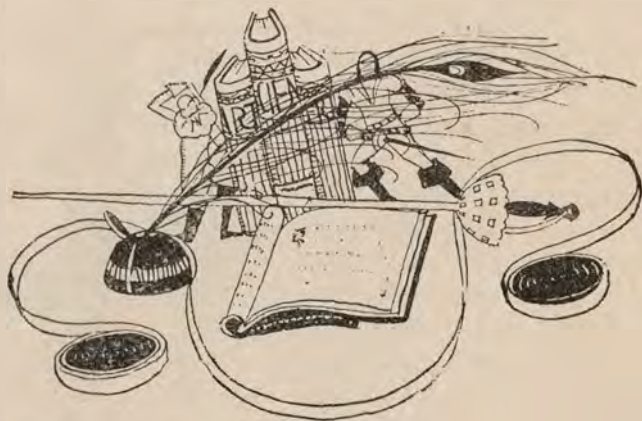
— Obserwuję pana od kwadransa, faunie jakiś! Jak się pan nazywa?  
Przypadkiem miałem przy sobie wizytówkę. Podałem mu ją razem z duka-



tem. Dukata schował i spojrzął na kartę. Gdy zobaczył, że jestem członkiem Akademii Francuskiej, z brutala zmienił się w człowieka, pełnego dwornej słodyczy.

— Niech mi pan wybaczy, panie akademiku — rzekł. — Nie mogłem wiedzieć: zbiera się tu tyle rozmaitych ludzi! Zresztą, jeśli interwenjowałem, to jedynie ze względu na dzieci. Pan wie, te małe łobuzy mają oczy, zwłaszcza jeśli idzie o to, aby widzieć to czego widzieć nie powinny. Poza tem nic mnie nie obchodzi. Lasek jest po to, aby w nim zabawiać się miłością. Na nieszczęście, szanowna pani ma czerwoną spódnicę, a to widać zdaleka niby sztandar. Jeżeli by pani, mówię to bez obrazy, wzięła na przykład czarną suknię, byłoby znacznie lepiej. Nie wpadałaby tak w oko. We wszystkim potrzebna dyskrekcja, prawda? Nie byłbym wtedy przyszedł, lecz i nie miałbym zaszczytu poznać pana, panie akademiku...

— Nie powie pan teraz chyba — kończył France — że to nic nie znaczy być członkiem Akademii Francuskiej.





*Napisał*

*ILJA ERENBURG*

Wbrew powszechnemu mniemaniu cuda dzieją się nawet w kraju tak bezwzględnie pozytywnym, jak Ameryka. Niewątpliwie cudem było podpisanie przez George'a Rendy i jego żonę Mary, dwoje zbiedzonych aktorów music-hollu, nigdy dotychczas nie grywających dla filmu, kontraktu z firmą „A. U. S.“ na udział w wielkim filmie „Ludzie i wilki“. Cud ten tłómaczył się, jeżeli cuda wogóle mogą się czems tłómaczyć, roztargnieniem administratora firmy „A. U. S.“ przygnębionego zdradą swej małżonki, który przyjął George'a Rendy za Johna Rendge'a niejednokrotnie występującego w skomplikowanych filmach.

Zresztą ani George, ani Mary nie tracili czasu na zastanawianie się nad przyczynami swego powodzenia. Warunki, bardziej niż średnie, mianowicie — gaża w wysokości jednego tysiąca dolarów oszołomiły ich zupełnie i otrzymawszy zaliczkę, przystąpili do zakupów, związanych z podróżą, ponieważ większa część filmu „Ludzie i wilki“ miała rozgrywać się w dalekiej Kanadzie. Przyjaciele uprzedzili Mary, że w Kanadzie bardzo zimno i Mary kupiła ciepłe włóczkowe trykoty dla siebie i także dla męża. Co się tyczy George'a, to szukał on fajki, fajki godnej znaleźć się na filmie, który będzie demonstrowany przed milionami ludzi w Now-Yorku i w Rzymie, w Tokio i w Moskwie. Po długich poszukiwaniach, natrafił na fajkę zupełnie szczególnej konstrukcji, przedstawiającą zamkniętą kulę z maleńkimi otworkami, aby na silnym

wietrze nie wypadaly z niej iskry. Subjekt pokazujacy mu fajkę oświadczył, iż przeznaczona jest ona dla szoferów, lotników i marynarzy. George pomyślał, że aktor filmowy powinien, jak żołnierz na wojnie gotów być w każdej chwili rzucić się w otchłań wód i ulecieć w powietrze i nabył skomplikowaną fajkę.

W wagonie ekspresu George zaczął studjować scenariusz i wkrótce z kołysania kanapy wypełził wyśliwy Tom. Mary zaś pozostawała Mary i po dawnemu była jego żoną. Okoliczność ta bardzo wzruszyła George'a i pocałował pasmo jej włosów nad zlekka zaróżowionem uchem. Lecz Mary porzucała Toma i George stropiony szeptał: — Mary ty mnie nie porzucisz? Dla niebieskiego lisa? — Myśl o tem była nieznośna i George nie rozumiał dlaczego ludzie są tacy źli, dlaczego skazali oni George'a za jeden tysiąc dolarów na podobne męki. I, będąc z natury dobrym, George ze wstrętem czyścił nową strzelbę myśliwską.

Murzyn-konkuktor, który zaszedł do przedziału, długo nie mógł przyjść do siebie. Przez trzy noce z rzędu widział we śnie pana w perłowych rękawiczkach, który ścisnął strzelbę i krzyczał, że zabije złoczyńcę, chociaż w *coupé* nie było żadnego innego pana i wogóle nie było nikogo, oprócz damy zajądającej najspokojniej konserwy z blaszanej puszki. Murzyn nie wiedział, co znaczy kinematograf i budząc się w nocy nie mógł zrozumieć dlaczego ludzie są tacy źli.

Kiedy artyści przyjechali do maleńkiego miasteczka Ybec, Mary przekonała się, że w Kanadzie rzeczywiście bardzo chłodno. Na dworcu spotkał ich reżyser, który oświadczył im wesoło, że wszyscy są już w komplecie nawet wilki, przywiezione rannym pociągiem. George poznał się ze swym rywalem, przebiegłym Joe. Rywał miał na sobie piaskową kamizelkę z wielbłądziej sierści i z godnością podał George'owi bilet wizytowy, opiewający:

WILIAMS POCKER

artysta filmowy

New-York      Los-Angelos

Następnie artyści pojechali sankami i George uczuwszy nareszcie tchnienie wiatru, zapalił swą fajkę. Zalety jej w zupełności odpowiadały zapewnieniom subiekta i ani jedna iskra nie wymknęła się z kuli. W gospodzie w pokojach było ciepło napalone. Zасыpiając George, zdecydowawszy, że nie wszystko co napisane, spełnia się w rzeczywistości, pieszczotliwie szepnął Mary:

— Dla ciebie gotów jestem zabić wilka. Ale ty mnie nie porzucisz, nieprawdaż?

Nazajutrz rano znikły i perłowe rękawiczki i kamizelka z wielbłądziej sierści. Tom z trudem poruszał się w futrzanych spodniach, twardych, jak skóra



mamuta. Twarz zakrywały mu olbrzymie zwieszające się nauszники. Futro oczywiście było nie z mamuta, lecz zajęcze, ale Georg pamiętał, że jeśli zając jest tchórzem, to Tom przeciwnie powinien być strasznie odważnym. Tom i Mary przyszli do małej chaty wśród lasu. Dokoła był tylko śnieg, który zieleniał na słońcu, od czego bolały oczy, włożyć zaś okularów było niepodobna, ponieważ okulary noszą profesorowie, a nie myśliwi. Dokoła chaty czaili się wrogowie: indjanie i wilki, ale najstraszniejszym wrogiem był biały — Joe. Wobec niego byli bezsilni nawet mili przyjaciele cowboye. George rozejrzawszy się skonstatował, że mimo wszystko mieszkać w chatce czasem bardzo przytulnie. Mary gotowała Tomowi zupę i było to o wiele przyjemniejsze od barów New-Yorku: można było, odrywając się od zupy całować pasmo włosów nad zlekka zaróżowionem uszkiem, a po obiedzie nie trzeba było płacić łapczywym lokajom. George niegdyś widział Mary w różnych jaskrawych sukniach z tysiącem błyskotek, gdy śpiewała w music-hollach. Ale nigdy nie była tak piękną, jak teraz, w prostej perkalowej sukience, zczesana gładko i przypominająca gimnazistkę. Tom zachwycony szeptał:

— Mary, kocham cię!

I Mary szczerze cieszyła się Tomem. Ale Mary była kobietą i jak każda kobieta w drapaczach chmur New-Yorku, czy w lasach Kanady chciała być jeszcze piękniejszą. Do tego zaś brakowało jej kolorowej chusteczki, nitki koralu i maleńkiego lusterka. George Rendy pomyślał, że wszystkie te rzeczy można dostać w New-Yorku za parę dolarów, prosty statysta otrzymuje za występ pięć dolarów, a on za film „Ludzie i wilki“ otrzymał 1000 dolarów, lecz wszystkie te spostrzeżenia nie nosiły charakteru realnego, ponieważ z Mary znajdował się nie George, lecz Tom i w lesie kanadyjskim nie było nowojorskich magazynów. A Mary uśmiechała się coraz smutniej i smutniej, chciała ogromnie otrzymać lusterko, aby dowiedzieć się czy naprawdę jest tak piękną, jak zapewniał ją Tom.

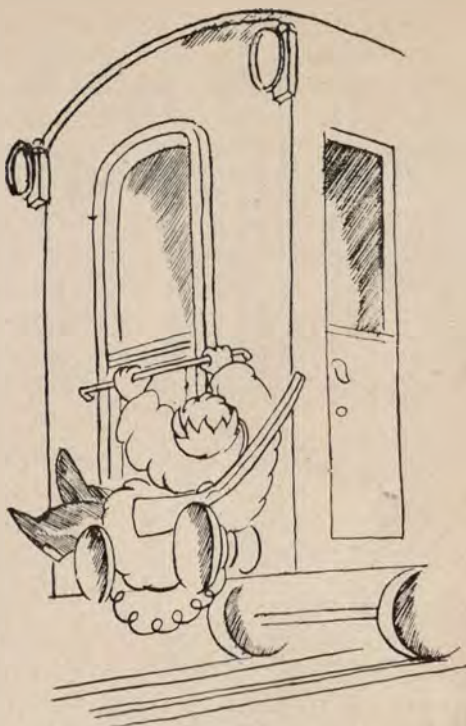
I Tom postanowił za wszelką cenę ucieszyć małą Mary. W odległości 5 godzin jazdy znajdował się sklep handlarza skór, znanego oszusta Geursa. Tom zaprzągnął do sanek 6 psów i pojechał. Śnieg skrzypiał, wiatr dął i fajka pracowała doskonale. Geurs miał wszystko, czego było trzeba — i jaskrawo zieloną chustkę i lusterko i duże korale. Ale oszust Geurs żądał za swe towary skóry niebieskiego lisa, ponieważ zaś Tom nie miał żadnych skór, Geurs nie dał Tomowi ani chustki, ani lusterka, ani sznura koralu. Tom pojechał zpowrotem, śnieg skrzypiał, psy szczekały, fajka dymiła i biedny artysta George Rendy, który często odchodził od witryn magazynów nowojorskich, nie mając ani dolara, by kupić żonie tanią sukienkę, myślał ze smutkiem, dlaczego ludzie tacy źli i Geurs nie podarował Tomowi choćby lusterka, maleńkiego lusterka dla smutnej Mary.



Powróciwszy do chaty, Tom pocałował pasmo włosów żony nad zlekka zaróżowionem uszkiem, wziął strzelbę i wyruszył na nartach do lasu. W lesie było bardzo strasznie, lecz Tom odważnie palił fajkę. Długo szedł, póki nareszcie nie ujrzał upragnionej zwierzyny. Wtedy wystrzelił i pobiegł, aby podnieść zdobycz, lecz znalazł tylko czerwoną plamę na śniegu. Nie zniechęcony tem, podszedł śladami ranionego zwierzęcia i po kilku minutach natknął się na przebiegłego Joe, trzymającego w ręku niebieskiego lisa, a z nim lustro, a z nim uśmiech smutnej Mary. Tom wiedział, że Joe porwał jego zdobycz, lecz nachmurzony odwrócił się i przeszedł obok. Tom nie mógł zabić człowieka dla lisa, nawet niebieskiego. Pomyślał, że Mary piękna jest i bez koralu i że spojrzawszy w jego oczy przekona się o tem. Lecz powracając do domu George zbłądził i napadły nań wilki. Początkowo stare wilki ze zwierzynca Quebec'u nie chciały napadać i reżyser strasznie się gniewał. Potem wilki jednakże napadły i nawet zagryzły jednego psa. George zaczął zlekka tchórzyc, lecz Tom musiał być odważnym i fachowo rozpałił ognisko, rzucając w wilków płonącymi głowniami. Podgiąwszy pod siebie ogony, wilki wyły, jak psy, które przeskrobują. Nad ranem, gdy już świtało, Tom odnalazł nareszcie drogę, lecz zbliżywszy się do domu zauważył odrazu, że stało się coś niedobrego — drzwi były naoścież otwarte. Mary nie było w domu i pierwszą myślą, jaka przyszła do głowy biednemu Tomowi było — „indjanie“.

Lecz George Rendy uczył się niegdyś w szkole geografji i pamiętał dokładnie, że w tych miejscowościach żadnych Indjan niema. Oczywiście Mary porwał przebiegły Joe, zresztą fałszywie mianujący się Joe, ponieważ George miał jego bilet i wiedział, że bezczelny rywal nazywa się Wiliams Pocker. George ujrawszy pustą chatę, pomyślał, że teraz zastrzeli napewno artystę Wiliama Pockera, ponieważ Mary nie jest lisem i nie odda jej tak łatwo.

Znów Tom popędził sankami zaprzęzonymi w sześć psów. Lecz zdarzyło się nieszczęście tak częste przy podobnych środkach lokomocji — psy wywalily Toma w śnieg. Tom długo leżał tam i odmroził sobie nogi, póki nie znalazł go oszust Geurs. Geurs poczęstował Toma whisky, sam zaś przez cały czas uśmiechał się chytrze i Tom zrozumiał, że Geurs wie, gdzie znajduje się w tej chwili przebiegły Joe. Spróbował wypytać o to Geursa, lecz znany łotr wykęcał się, podlewając Tomowi whisky. Niewiadomo czemuby się to skończyło, gdyby Tom nie zauważył na kontuarze skóry niebieskiego lisa. Wówczas uderzył tak groźnie pięścią w stół, że butelka whisky i szklanki poleciały na podłogę, a Geurs, który umiał przebiegle się uśmiechać, pokazał, że umie również wymownie drzeć. Znany oszust przyznał się, że Joe sprzedał mu skórę niebieskiego lisa i otrzymawszy pieniądze odjechał z jakąś kobietą do miasta Quebec.



Nawet nie rozgrawszy się, Tom popędził w pogoń za przebiegłym Joe. Za godzinę był już na stacji Ybec i ujrzał tam wszystkich artystów w komplecie. Joe, zrzuciwszy futrzaną kurtkę, znów paradował w kamizelce z wielbłądziej sierści. Jechał z Mary w oddzielnym *coupé* i George widział, jak pieścizotliwie porozumiewali się spojrzeniami. W drugim przedziale rozmieścił się reżyser, drobni artyści, statyści i nawet psy, oprócz jednego, którego zagryzły wilki. Tylko George musiał wleźć pod wagon i wisieć na buforze, ponieważ Tom był biedny i nie miał pieniędzy na bilet. George wyteżał siły — dla Mary gotów był wisieć na buforze — wyteżał siły i dymił ze swej ulepszonej fajki. A nad nim w oddzielnym *coupé* wesoła Mary kokietowała przebiegłego Joe.

Biedny artysta George Rendy ze smutkiem porzucał las, w którym mógłby był spokojnie żyć w chatce z miłą Mary, gdyby nie przebiegły Joe, który korzystając z tego, że ma skórę niebieskiego lisa i kontrakt z firmą „A. S. U.” na pięć filmów, porwał Mary. Ze smutkiem porzucał las, w którym pozostał tylko dekoracyjny domek i cztery wilki z bliznami różg i opaloną



przez głównie szerścią, cztery stare wilki porzucone w śniegach, wyjące, jak psy, które zawiniły.

Jechał sam nocnym ekspresem, Mary i przebiegły Joe odpoczywali już w tym czasie w salonie hotelu „Aleksandrja“. Kiedy myśliwy Tom w swych futrzanych spodniach, zakręcił się w lustrzanym turnikiecie hotelu — goście, przechodnie i nawet portjer, który widział w swoim życiu wiele — lordów angielskich i wzbogaconych włóczęgów z Kalifornji — wszyscy parsknęli śmiechem. Śmieli się chudzi, sprężysti handlowcy, śmiały się wystrojone damy w sukniach od Paquin'a na wy-

gęszej skórze Nowego Świata, śmiał się murzynek-groom, pokazując koniuszek malinowego języka, śmieli się wszyscy, ponieważ bardzo śmiesznym był biedny Tom w zajęcej skórze, ściskający strzelbę na tle lustrzanych drzwi, brązu palarni i plakatów towarzystw okrętowych. Śmieli się wszyscy, rozumiejąc dobrze, że Mary, odpoczywająca w salonie Nr. 68 z przebiegłym Joe, nigdy nie powróci do Toma, do nędznej lepianki wśród lasu, gdzie niema ani groomów, ani muzykantów, tylko śnieg i wilki. I George'a bardzo bolało, że źli ludzie śmieli się z jego prostej miłości.

Tom chciał dostać się na górę, czując, że Mary znajduje się w jednym z pokoiów, w jednym z 300 pokoiów z jednakowymi drzwiami, oznaczonymi różnymi cyframi, lecz lokaje nie chcieli puścić tam Toma. Wówczas Tom odtrącił jednego szczególnie bezczelnego i z zadowoleniem zauważył, że ten bezczelny lokaj nie był nikim innym, jak znanym oszustem Geursem. Z pośród 300 drzwi Tom odnalazł jedne, ponieważ miał serce, które wyprowadziło go nawet z gąszczu lasu kanadyjskiego, kiedy zabłądził po zabiciu niebieskiego lisa. — Za tymi drzwiami przebiegły Joe cieszył się Mary. Znajdowały się na nich cyfry 68. Tom ujrzał, że drzwi są zamknięte, lecz umiał w lesie podważać ramieniem nadrabane drzewo i za chwilę drzwi zazgrzytały.

Obok Toma stał reżyser i przez cały czas prosił artystę George'a Rendy, by zachował zimną krew, aby nie zepsuć najważniejszego momentu filmu. Lecz George nie potrzebował podobnych uwag, — był twardy, jak kamień i dymiąc swą fajkę wiedział, co do niego należy. Pamiętał dobrze, że Mary nie jest niebieskim lisem. Wylamawszy drzwi George ujrzał coś przerażają-

cego, o wiele bardziej przerażającego od wszystkiego, co mógł przypuścić: Mary siedziała na kolanach Wiliama Pockera i bezczelny aktor całował pasmo włosów nad jej zlekka zaróżowionem uchem. George, który doświadczył na sobie całej odwagi Toma, nie mógł się zawahać. Ścisnął tylko silniej zębami fajkę, wypływając chmury dymu i zmierzwszy się dobrze, aby nie spudłować — wystrzelił. Rozległ się głośny huk, Wiliam upadł i George uśmiechnął się z satysfakcją. Lecz w tej samej chwili zauważył, że Wiliam Pocker bynajmniej nie był zabity i że bezczelnie zezując swymi skośnymi żółtymi ślepiami, nie przestaje kokietować Mary. Wówczas George odrzucił bezużyteczną strzelbę i jak prawdziwy leśny człowiek zaczął dusić Wiliama. Lecz reżyser i inni ludzie oderwali go przemocą, krzycząc, że oszalał i że włożą na niego kaftan bezpieczeństwa. Tego pojąc George Rendy nie mógł — dlaczego źli ludzie pozwolili aktorowi Pockerowi porwać jego żonę i nawet śmieli się przytem, i dlaczego, gdy on chciał ją odebrać, ponieważ Mary nie lis, schwycili go za ręce i zaczęli mu wymyślać.

Wiljam Pocker leżał na otomanie. Głowę obwiązano mu mokrym ręcznikiem. Skłaniając się do próśb czarującej Mary, przebaczył George'owi Rendy — zazdrosnemu mężowi i złemu aktorowi. Lecz reżyser, zdenerwowany do ostatecznych granic powiedział George'owi, że przeszarżował na całej linii, że na dobytek wszystkiego dym fajki zasłonił mu twarz w najbardziej patetycznych momentach i że firma „A. S. U.“ nie wznowi z nim więcej kontraktu.

Kiedy George i Mary wracali ekspresem do domu, nie było już ani Toma, ani strzelby myśliwskiej i murzyn-konduktor mógł spać bez strasznych snów. Mary gniewała się na niedołęznego męża i nie pozwalała mu więcej całować pasma włosów nad zlekka zaróżowionem uszkiem.

— Jesteś idjota! A. S. U. to wielka firma. Co pocniemy teraz?

Lecz zamiast prostej odpowiedzi George wolał pieszczotliwie szeptać:

— Mary, ty mnie nie kochasz?

I porównywał miłość Mary, która nie wytrzymała próby jednego zepsutego filmu, ze swoją, dla której walczył z wilkami, wisiał na buforze wagonu, padał w śnieg obok sklepu Geursa i znosił wszystkie drwiny służby hotelu „Aleksandrja“.

Wkrótce ukazały się pionowe skały gmachów nowojorskich i nie przypominało już zapomnianych wilków, wyjących gdzieś w lasach Kanady. Nawet resztki dolarów, związane do pewnego stopnia z ich wyciem — znikły. Rozpoczęły się zwykle dni bezrobotnego aktora.

Często George, przechodząc obok niedostępnych restauracji myślał poządlwie o smacznej zupie, którą w miłej chatce śliczna Mary gotowała myśliwemu Tomowi. A Mary stawała się coraz bardziej i bardziej rozdrażnioną: chciała mieć suknię, kolję i tremo. To ostatnie było rzeczą zupełnie niezbędną,

aby Mary mogła skonstatować, jak piękną jest nawet bez nowej sukni. Wszystkie te rzeczy można było dostać w magazynie i magazynów w New-Yorku było bardzo wiele, lecz w każdym z nich źli ludzie żądali wzamian dolarów, tak samo, jak oszust Geurs żądał za lusterko i korale skóry niebieskiego lisa i George nie mógł podarować trema rozdrażnionej Mary. Często teraz Mary płakała i wyrzucała George'owi, że jest złym artystą, który nie umie odróżnić kinematografu od życia i zbliża się do świętej sztuki z nędznymi manierami zazdrośnika. George poczuwał się do winy i przysięgał być na przyszłość mądrzejszym. W długie dni bezrobotnego aktora wiele myślał i doszedł do przeświadczenia, że wszystko, co dzieje się dokoła, to różne filmy dobrych lub złych firm. George skrzętnie przygotowywał się do nowego zdjęcia i teraz nawet najlepsza firma „W-W.“ mogłaby podpisać z nim kontrakt.

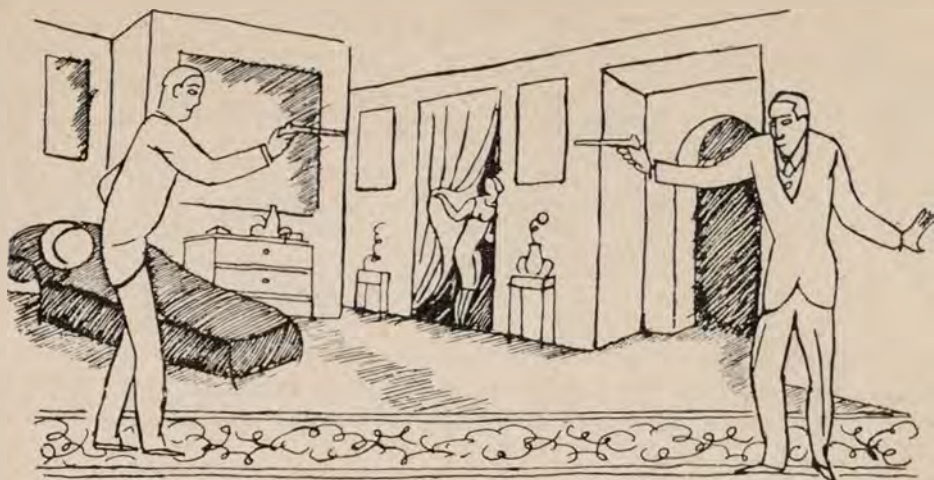
Lecz historia filmu „Ludzie i wilki“ obiegła wszystkie gazety amerykańskie i kiedy George proponował swe usługi, śmiano się z niego, tak samo, jak śmieli się lokaje „Aleksandrji“ z biednego Toma, zapominając o tem, że smutna Mary chce mieć tremo.

Pewnego rana Mary powiedziała mężowi, że idzie do aktora Wiliama Pockera, który pracuje w firmie „W-W.“, poprosić go o protekcję, by zaangażowano ją do ról bohaterek, a niezdarnego George'a w charakterze statysty. Mary wyszła rano i długo nie powracała. Pod wieczór zaniepokojony George udał się na jej poszukiwanie. Pocker mieszkał na siedemnastem piętrze i patrząc z okien poczekalni na pionowe skały domów, George pomyślał, że reżyser firmy „W-W.“ zna przeróżne *trücki* i zrećnie umie podrabiać miasto.

Usłyszawszy szum przypominający trzask aparatu, George przyszedł do przekonania, że odbywa się zdjęcie i przeszedł z poczekalni do sąsiedniego pokoju. Istotnie nie pomylił się. Mary siedziała na kolanach Wiliama. Całowali się najzupełniej naturalnie, zdradzając przytem dobrą szkołę. Każdy profan zadecydowałby, że robią to naprawdę, lecz George znał wszystkie subtelności kinomatografu. Scena miłosna tak mu się spodobała, że nie wytrzymał i krzyknął:

— Brawo! Godne „W-W.“!

Wówczas Mary zapinając w pośpiechu suknię ukryła się za portjerą, a Wiliam Pocker rozwścieczony uderzył George'a w twarz, uderzył bardzo teatralnie lecz bardzo boleśnie. George pomyślał: co za śmieszny scenarjusz — i zaczął się zastanawiać, czy to komedja, czy dramat i jak powinien w danej chwili postąpić. Skłaniając się do myśli, że Wiliam i Mary grają dramat, uderzył również swego partnera. Wiliam Pocker dostał wówczas z szafy dwa pistolety i jeden z nich podał George'owi. Teraz było już rzeczą zupełnie jasną,



że George nie pomylił się i że sztuka, w której gra, jest dramatem. George tym razem zachował zupełny spokój i wiedząc, że strzelby i pistolety w kinie robią tylko wiele huk, lecz nikogo nie zabijają, udał, że celuje, starając się zrobić to możliwie najefektowniej.

Wiliam Pocker upadł tak samo, jak w hotelu „Aleksandrja“, lecz tym razem nie zezował swymi żółtymi oczami i Mary nie uśmiechała się, lecz krzyknąwszy: „morderca“! — zaczęła głośno płakać.

Chociaż George rozumiał, że łyż Mary, to, łyż kinematograficzne, zmieszał się jednak, ponieważ nie mógł widzieć jej łez.

— Mary, prawda, że dobrze zagrałem i teraz otrzymasz tremo! .

Wkrótce przyszli statyści w uniformach policyjnych i odprowadzili George'a. W domu, w którym go umieszczono dla dalszych zdjęć, było wiele jednakowych drzwi z cyframi, jak w hotelu „Aleksandrja“. Lecz był to dom bardzo niewygodny i George wiele się w nim nacierpiał. Żałował nawet buforu wagonu. Jedyną towarzyszką osładzającą nieco jego dni była fajka. Palił ją i cieszył się nią, jak pięknym wynalazkiem naukowym. Coprawda w domu, w którym się znajdował, zupełnie nie było wiatru, lecz George pamiętał, że powinien jak żołnierz na wojnie w każdej chwili gotów być rzucić się w wodę, lub ulecieć w powietrze.

Dni płynęły za dniami i George zaczął tęsknić. Kazano mu grać dla bardzo powolnego i nudnego filmu, który widzowie bezwarunkowo wygwizdzą. „W - W.“ niespodzianie okazała się marną firmą.

Nareszcie reżyser przystąpił do zdjęć następnego aktu. Razem z Georgem grało wiele statystów w sędziowskich beretach. Głównym statystą był aktor, który przeszedł go „W - W.“ z „A. S. U.“ i niegdyś grał znanego oszusta Geursa i bezczelnego lokaja hotelu „Aleksandrja“.

Ujrawszy na sali Mary, która grała jakąś drugorzędną rolę, George krzyknął:  
— Mary, gram dla ciebie. Jest mi bardzo ciężko. „W-W.“ wymyśliła okropne warunki..

Lecz Mary nic mu nie odpowiedziała. Grając skrupulatnie swą rolę, zakryła twarz chusteczką i odwróciła się.

George'a odwieziono zpowrotem do jego złego hotelu i znów pociągnęły się jednostajne dni. Nie wytrzymawszy, George napisał do reżysera firmy „W-W.“, że długie przerwy pomiędzy zdjęciami przynębiają go i że żąda przyśpieszenia tempa pracy. Reżyser zgodził się z nim i doniósł przez ponurego statystę w uniformie stróża, że jutro odbędzie się zdjęcie ostatniego epizodu.

George'a obudzono w nocy. I biedny aktor George Rendy wiedział, że teraz okaże się na należytej wysokości i nie przeszarżuje. Pozazdrości mu sam król ekranu, którego niewzruszona maska spogląda z plakatów pięciu kontynentów — japoński mim Sessue Hayakawa.

Miejsce zdjęcia spodobało się George'owi. Lubił na ekranie wszelkie zdobywcze współczesnej techniki: masywne tanki i kieszonkowe telefony, ciężkie obeliski dźwigarów i najłżejsze wyścigowe monopłany. Kiedy wprowadzono go do pokoju, odrazu ocenił majestatyczność i piękno dekoracji: gołe ściany, trzy lampki elektryczne o niezwykłej sile i wielki fotel, przypominający cokolwiek fotel dentystyczny, lecz znacznie bardziej skomplikowany i majestatyczny. George zrozumiał, że firma „W-W.“ istotnie nie cofa się przed żadnymi wydatkami. W scenie, tej oprócz Georgea, brało udział jeszcze dwóch drobnych aktorów: jeden grał pastora, drugi, cały w czarnym, jakąś niezupełnie zrozumiałą dla George'a rolę.

Obecny przy zdjęciu, reżyser firmy „W-W.“ w wysokim cylindrze prosił George'a, aby zachowywał spokój. Lecz aktor George, który doświadczył już немало trudnych zdjęć, nie potrzebował podobnych uwag. Rozumiał, że gra dla niezwykłego filmu, który będzie demonstrowany przed milionami ludzi w New-Yorku i w Rzymie, w Moskwie i w Tokio. Siedział majestatyczny na wysokim fotelu, jak sędzia starożytnych plemion. Nagle przypomniał sobie, że przez drobną nieuwagę omal nie zepsuł filmu i odrywając ze smutkiem od warg niedopaloną fajkę — powiedział:

— Weźcie ją, dym może mi zasłonić twarz.

Siedział i myślał o tem, że teraz Mary będzie miała wszystko i Mary powróci znów do porzuconego myśliwego Toma. Pojadą daleko, do Kanady, do lasu, gdzie pozostawiono stare zapomniane wilki. George myślał o tem, że wilki jednak lepsze są od ludzi, ponieważ u nich niema takich trudnych filmów. I kiedy tok dotknął już pleców wielkiego aktora George'a Rendy — myśliwy Tom jeszcze raz wyszeptał:

— Mary, ty do mnie wrócisz?...



A fajkę szczególnego modelu przeznaczoną dla szoferów, lotników i marynarzy wziął sobie na szczęście drobny aktor w czarnym, grający niezupełnie zrozumiałą rolę. Wkrótce aktor ten wyjechał do Pikardji, gdzie odbywało się wielkie zdjęcie wojny. Grał tam niedługo. Ocalała fajka dostała się mnie. Ja zaś gram jeszcze i zdaje się nie ostatni epizod. Często zdarza mi się palić tę udoskonaloną fajkę przy zupełnym braku wiatru. Lecz reżyser firmy „W - W.“ może być spokojny — nie zepsuję mu filmu i w potrzebnej chwili krzyknę:

— Weźcie! dym może zasłonić twarz...

Przełożył

*M. K—ski*



# WAMPIR

Dramat z życia heter.

W GŁÓWNEJ ROLI:  
**MIA MOJA**



Długość: jeden kilometr.  
Tryumf kina! Wielki szlagier!  
Tajemnica ludzkich pra-gier!

Film wytwórni:  
„PARA NOIA“,  
Reżyserja: ch. de Faux-p'y  
Pierwszy ósmy cud Europy

Ona jest ciastkarką w „Café“,  
On ma fraków pełną szafę.  
Ona nie zna się na niczym,  
On przeciwnie jest płatniczym.



W garsonierze garson donnę  
W mig przerobił na garsonnę,  
Gdy jej zdefraudował cnotę,  
Uciekł od niej na piechotę.



Poroniła łyż najrzewniej,  
Ale żądza pomsty wre w niej.  
Wnet porzuca café „Empire“  
Twierdząc: teraz jestem wampir!



Szalał za nią młody Grynszpan.  
Rzekła: płac miłosny czynsz pan!  
Okradł matkę, zabił ojca,  
Aż zamknięto go do kojca.



Chciał ją posiąść jeden prezes,  
Lecz mu ona srogi śle zez,  
Więc się rozpił biedny Klemens,  
Umarł na delirium tremens.



Malarz kochał ją najgłupiej:  
Leżał cały dzień u stóp jej.  
Lecz, że nic nie zyskał, krom ans  
Samobójstwem skończył romans



Aż się zjawił pewien bankier,  
Co jej dał zegarek „ankier“.  
Że miał dewiz pełną kiesę,  
Więc ją pojął za metrese.



Ona go wysysa niecnie,  
Ale on nie umie rzec: nie..  
Próżno żona, dziecko błaga:  
Rzuć tę dziwkę! — Nie pomaga.



Poszły do niej córka z matką,  
Scenę jej zrobiły rzadką.  
Wprost błagały ją: — Ty, szmata,  
Oddaj męża! Oddaj tata!!



Amor longus, cassa brevis.  
Wnet nie stało jemu dewiz.  
Mówiąc: czego jeszcze chcesz?  
Zastrzeliła go do reszty.



Gdy się wielki gwałt stąd robi,  
Biegnie na pustynię Gobi.  
Raczej lwom swój ciała dziw da,  
Niż by jej się działa krzywda!



Widać ją w rok po tej scenie,  
Z lwami w cyrku, na arenie.  
Bowiem wszystkie lwy bezmała,  
Wkrótce — wy-me-tresowała.

Oto  
**KONIEC**  
I-ej serji.

Pełnej szaleństw i hysterji,  
Wkrótce: Serja druga, clou  
Dalszych losów pięknej Lu.

### KINO „WINNICA“

przyjmuje zamówie-  
nia na nieznikające

REKLAMY ŚWIETLNE

cena reklamy

100 ZŁ

Najtańszą,  
najbardziej irapującą,  
najróżnorodniejszą  
lekturą jest

**TORPEDA**  
MAGAZYN NIESAMOWITOŚCI  
I SENSACJI

Cena numeru 1 zł 50 gr

ŚWIATŁEM  
DRUKIEM  
RYSUNKIEM  
REKLAMUJE

**PROPAGANDA  
ARTYSTYCZNA**  
LWÓW, SYKSTUSKA 29  
HALLO: 27-72

# Jedyny cud Cagliostro

W wieku XVIII żył pewien dziwny, jak na owe czasy, człowiek. Nazywał się Joachim Delteil i był tapicerem. Gardząc filozofją Crebillona i zasadami Casanovy pragnął być wyłącznym posiadaczem swojej żony. Wymagał od niej absolutnej wierności, którą mu ta łagodna kobieta przysięgała po kilka razy na dzień.

Ale tapicer Delteil nie miał spokoju. Wiedział z „Ksiąg Salomonowych“, że są cztery rzeczy, których poznać nie można: śladu ptaka w powietrzu, węża na skale, okrętu na wodzie i męża w niewieście. Trapiąc żonę ustawicznymi pytaniami, powiedział jej w końcu, że, aby się przekonać o jej wierności, pójdzie do wielkiego Cagliostro: ten da mu jakiś środek niezawodny do rozeznania prawdy. Chciał bowiem wiedzieć. Koniecznie chciał wiedzieć.

Poszedł. Cagliostro postawił przed nim kulę szklaną, napełnioną wodą i sam w nią patrzył i tapicerowi kazał patrzeć. Potem przeczekał do nocy i badał gwiazdy. Zabił jaszczurkę i w jej wnętrznościach szukał rozwiązania zagadki. Nakoniec dał Joachimowi Delteil flakonik z czarodziejskim eliksirem. Powiedział mu tak: jeśli przed rozpoczęciem małżeńskich igraszek zażyje trochę tego eliksiru, przekona się naocznie o wierności swej żony; albowiem w razie, jeśli go ona kiedykolwiek zdradziła, on, jej mąż zamieni się w kota.

Tapicer wrócił do domu i już od progu krzyczał, że wszystko teraz wyjdzie na jaw i całą rzecz opowiedział zmartwionej kobiecie. Pod wieczór wypił eliksir i spędził z żoną najcudowniejszą noc w życiu. Wśród uścisków i rozkoszy niewiasta usnęła zmęczona. Obudziwszy się rano ujrzała tuż przy sobie wielkiego kota. Zwierzę nie poruszało się. Było zdechłe. Przerazenie jej było wielkie, ale jeszcze większa boleść ze straty męża. Jęła krzyczeć i rozpaczać. Tuląc zdechłego kota w łzawych objęciach, wołała:

— Biedny mąż, biedny kot. To moja wina. Nie dość było, żem cię zdradziła z kapitanem dragonów, musiałam jeszcze wysłuchać podstępnych westchnień tego tłustego labusia! O ja niegodna! Ale czyż mogłam przypuszczać, że ci to aż tak zaszkodzi?!...

Nie mogła skarżyć się dłużej, albowiem w tej chwili wylazł z pod łóżka cały, zdrowy, i ponury jak burza, Joachim Delteil, tapicer Jego Królewskiej Mości.

Historja ta nieco krócej opowiedziana znajduje się w „Kalendarzu zacnego Królestwa Francji“ za rok 1778.

# Buduary

według pana de Jouy \*)

PIOTR PAWEŁ FOUR

Pani de \*\* nie ma zimowego buduaru.

Albo powiedzmy raczej: nie ma osobnego buduaru na zimę. Bo naprawdę ma go wszędzie, w garderobie i w niszy, na schodach i za kotarą przy oknie.

Pani de \*\* jest wszystko jedno; jej serce jest gorące, a jeszcze gorętsza dusza.

Pani de \*\* jest tem co się nazywa *femme forte*.

Lecz na lato znalazła Pani de \*\* buduar. Jest nim mała altana, ukryta wśród róż. Tam kazała ustawić brązowy posąg boga ogrodów i uczyniła go swym opiekunem.

Bóg ogrodów jest tedy jedynym świadkiem jej tryumfów i szczęścia.

Ilekoć następuje ta chwila, pani de \*\* zrywa różę i wieńczy nią czoło boga.

Lecz zdarzyło się raz, i to wkrótce po ustawieniu altany, że róż zabrakło.

Tyle wieńców uwiła pani de \*\*.

Od tego czasu musiał bożek zadawać się inną ofiarą: otrzymywał po listku.

Znam również buduar markizy \*\*\*. Ta zawołała malarza i zrzuciwszy swe suknie kazała się namalować jako Dejanirę. Obraz ten wisi w jej buduarze. Jedną ręką trzyma się około Herkulesa, odwiecznego boga siły męskiej, drugą daje znak Danaidom, by się cofnęły, jakby chciała im powiedzieć, że je z pewnością zastąpi.

Nawet truchłą przygruba księżna \* dała się malować. Jest Wenerą, dookoła zaś niej stoją Jowisz i Pluto, Mars i Adonis. Wszystko jej kochankowie, pełni sił i młodości. Lecz księżna na obrazie ma twarz niezadowoloną. Na Bogów

\*) *Etienne de Jouy*, rodem z Jouy koło Wersalu, ur. 1764 — um. 1846.

zupelnie nie zważa, odwróciła się nawet od nich i spogląda za Merkurym, który nosi nowe listy miłosne.

\* \* \*

Buduarem baronowej \* \* \* jest jej galerja. O niej to opowiadają, że po śmierci marszałka \* nosiła ciężką żałobę przez dni siedmnaście. Tyle bowiem zaznała radości od niego, i to w przeciągu dwunastu godzin.

Nad sofą umieściła też na zegarze popiersie tego bohatera i napis pełen treści w złotych literach: „Bliźniemu przykład piękny“.

Pewnego razu pokazywała tę pamiątkę pewnemu kawalerowi z Gaskonji. Kiedy mówiła o Marszałku, miała zawsze łzy w oczach. Gaskończyk usiłował panią pocieszyć, że zaś nie szło słowem, przyrzekł prześcignąć Marszałka czynami.

Lecz pani \* \* \* nie chciała mu uwierzyć i broniła sławy zmarłego bohatera, kiedy zaś kawaler nie ustępował postanowiła dać mu nauczkę i to na miejscu.

Mimo wszystkich starań i trudów Gaskończyk przegrał; a kiedy pani \* \* \* czyniła mu z tego powodu gorzkie wyrzuty, stał się bezwstydnym i odpowiedział wręcz: „Madame, kiedy nieboszyk Marszałek był bohaterem, miałś Pani lat czternaście. Racz je mieć raz jeszcze, a przekonasz się, jakim mężczyzną jest pan de Ventillac! Nawet najlepszy pies zawiedzie w złem polu!“





# *O Herondasie, twórcy „Mimiambów“ i kabarecie starogreckim*

*Napisał*

*JÓZEF JEDLICZ*

O Herondasie, wybitnym poecie epoki aleksandryjskiej, do niedawna mało wiadano. Znano go jedynie z lakonicznych wzmianek i cytat u pisarzy greckich i rzymskich. Dopiero odnaleziony w końcu XIX wieku — w grobowcu staroegipskim — manuskrypt papirusowy „Mimiambów“, chociaż mocno uszkodzony, daje nam zupełnie plastyczne wyobrażenie o twórczości tego niezwykle ciekawego poety-realisty, jasnowidza i piewcy codziennej rzeczywistości, o jego nawskrós odrębnym rodzaju i stylu poetyckim, tak dziwnie bliskim stylowi i duchowi czasów dzisiejszych.

Herondas żył i tworzył w pierwszej połowie III wieku przed Chr. — prawie współcześnie z Teokrytem i Kallimachem — w stolicy Egiptu, Aleksandrii, za panowania Ptolomeusza Filadelfosa. Pochodził najprawdopodobniej z wyspy Kos, jednej z większych wysp głośnego Dodekanezu, t. j. rojnej grupy wysp u wybrzeży Azji Mniejszej, pozostającej dziś pod okupacją włoską. Kos słynie w starożytności z cudownej świątyni Asklepiosa — cudownej nie tylko pod względem religijnym — i jest przez pewien czas jednym z ważniejszych ognisk kultury artystycznej i literackiej. Zjeżdżają tu tłumy pielgrzymów z całego świata hellenistycznego, z Europy, Azji i Afryki, a nie brak wśród nich znakomitych pisarzy i artystów. W przybytku tajemniczego boga-uzdrowiciela nagromadzono prawdziwe skarby sztuki, wśród których jaśnieją marmury, brzozy i malowidła największych plastyków starożytności. Należy podnieść, że w owych czasach Dodekanezos znajduje się w najbliższej strefie promieniowania wspaniałej kultury aleksandryjskiej, której gorliwymi protektorami są władcy Egiptu, Ptolomeusze. Ich świetna stolica wyrosła rychło na metropolję kulturalną ówczesnego świata. Nie dziw, iż już w pierwszym dialogu „Mimiambów“ napotykamy ustęp, opiewający w gorących barwach wspaniałości Egiptu i Aleksandrii.



Mimiamb to odrębny typ literacki, rodzaj dialogu dramatycznego, o akcji zamkniętej, malującego nawskróś realistycznie różne poufne — nieraz bardzo intymne lub drastyczne — sceny obyczajowe z życia mieszczańskiego. Dialogi te różnią się znacznie od prastarej formy dramatu mimicznego (*mimos*). Pisane są nie prozą, lecz specjalną miarą rytmiczną, tak zwanym *chromoiambem* (*choliambos*). Niektóre z nich są prawie w całości monologami, przeważnie jednak występują w nich dwie lub trzy osoby. Krótkie te utwory — nie przekraczające zazwyczaj stu wierszy — wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, wygłaszane były przed publicznością przez jednego aktora-recytatora, który miał tu szerokie i wdzięczne pole zarówno do rozwinięcia talentu recytacyjnego, mimicznego i transformacyjnego, jak do popisania się wielostronną, subtelną kulturą artystyczną. W specyficznym kostjumie estradowym — zapewne odpowiednio stylowym — bez żadnych dekoracji i rekwizytów, taki mimik-recytator jedynie umiejętną intonacją i cieniowaniem głosu, bogactwem mimiki i mistrzowską ekspresją gestu, momentalnym aranżowaniem różnych sytuacji i wzywaniem się w różne postaci i typy psychiczne, tak męskie, jak kobiece, odtwarzał — można powiedzieć — inscenizował cały dialog. Artystyczna reprodukcja mimiambu była więc sztuką *par excellence* estradową, wykwitem kultury wielkomiejskiej, jak np. dzisiejsze teatrzyki artystyczne i kabarety. Z tą jednak różnicą, że mimik-recytator — bez pomocy ornamentyki dekoracyjnej czy muzycznej — czarował wykwintną publiczność stołeczną jedynie bogactwem własnego talentu, mistrzostwem gry i recytacji, pomysłowością i plastyką ekspresji artystycznej. Widzimy, iż owi antyczni prekursorowie naszych kabarecistów mieli zadanie nierównie trudniejsze i musieli być naprawdę talentami „z bożej łaski“. Popisy ich były niewątpliwie artystyczną okrasą — zresztą nie jedyną — barwistych i gwarnych uczt na dworze królewskim lub w pałacach możnych dygnitarzy i bogaczy aleksandryjskich.

Odnaleziony egzemplarz „Mimiambów“ Herondasa obejmuje siedem takich dialogów w całości. Tytuły ich: *Rajfurka*, *Rufjan*, *Bakalarz*, *Ofiarnice Asklepiosa*, *Zazdrośnica*, *Przyjaciółki* i *Szewe*. Ósmy, p. t. *Sen*, jest w większej części uszkodzony. Z reszty rękopisu, zbyt zdefektowanej i nieczytelnej, zdołano odcyfrować jeszcze trzy tytuły oraz luźne urywki, z których trudno złożyć jakąś całość. Ale już z tych siedmiu całkowitych utworów przebiera wyraźnie niepospolita indywidualność poety aleksandryjskiego, czystej krwi realisty — wprost w sensie programowego realizmu (naturalizmu) XIX wieku — bystrego obserwatora i wiernego malarza życia i obyczaju środowiska mieszczańskiego. Jego naczelną zasadą i hasłem twórczym jest obiektywna prawda przedstawienia. Poprzez wszystkie dialogi przewijają się — świetnie uchwycone — postaci i sylwety

ludzi rzeczywistych: kobiet i mężczyzn, obywateli i małomieszczan, dam i kuzuszek, niewolników i niewolnic, szkolarzy, rzemieślników, handlarzy, stręczycielek i t. p. Widzimy ich w domu, w świątyni, w szkole, przed sądem, przy warstacie — słyszymy ich jędrną gwarę, zaklęcia, przysłowia, dowcipy. Żaden z poetów antycznych — z wyjątkiem jednego Arystofanesa — nie spoufała nas tak blisko z dniem powszednim starożytnych, jak Herondas — z ich wyobrażeniami, przesadami, wierzeniami i etyką, z ich kulturą i językiem potocznym i całą psychiką codzienności. Główną jednak uwagę poświęca Herondas kobiecie, której zgoła nie idealizuje...

Poniżej podajemy wierny przekład (podług edycji Crusiusa z r. 1905) pierwszego z tych dialogów, p. t. Rajfurka. Piękna Metriche, żona Mandrisa z Kos, oczekuje z wielką tęsknotą miłego męża, który wybrał się w podróż do Egiptu. Minął już dziesiąty miesiąc, a o zacnym Mandrisie ani słyhu. I oto w szary, nudny dzień jesienny jawi się u biednej samotnicy jej stara mamka, Gyllis — jak się okazuje, mistrzyni procederu rajfurskiego. Pod maską tkliwej przyjaźni, sędziwa kusicielka z rafinowanym sprytem sączy w wierne serce młodej kobiety gorzki jad zazdrości i niechęci do męża. Wkońcu z religijnem namaszczeniem roztacza przed nią słodkie ponęty i zyski grzechu... W momentalnym, syntetycznym ujęciu charakterów i typów psychicznych obu kobiet nie brak ani jednego istotnego rysu czy motywu. Całość tej migawki dramatycznej ujmuje naturalnością i klasyczną prostotą struktury, prawdą i mistrzostwem rysunku. Postać starej rajfurki śmiało można postawić obok najlepszych tego rodzaju kreacyj Szekspira i innych mistrzów nowoczesnych.



Z „Mimiambów“ Herondasa

# RAJFURKA

*Dialog poufny*

Osoby:

METRICHE, żona Mandrisa

THREISSA, niewolnica

GYLLIS, stara mamka Metrichy

*Dzieje się w mieście Kos, na wyspie tejże nazwy, w połowie III. wieku przed Chr. — w domu Mandrisa. Słotny dzień jesienny. Metriche z niewolnicą siedzą przy pracy w pokoju frontowym.*

METRICHE

*(przerywając milczenie)*

Threisso, ktoś do bramy stuka... Wyjdź no,  
Może ktoś z naszych powraca od roli.

THREISSA

*(za drzwiami)*

Kto tam?

GYLLIS

*(na dworze)*

Ja —

THREISSA

Coza „ja“? Nie masz śmiałości  
Przestąpić progu?

GYLLIS

Ha no, to już wejść.

THREISSA

Cóżeś za jedna?

GYLLIS

To ja, matka Gyllis.  
Idź do pokoju oznajmić mię pani.

THREISSA

(wracając)

Przyszła —

METRICHE

Któż taki?

THREISSA

Gyllis.

METRICHE

(radośnie)

Matuś Gyllis?...

Odejdź, dziewczyno —

*(Threissa odchodzi — Metriche podchodzi do drzwi i wprowadza Gyllidę do pokoju)*

Jakaż ciebie wróżka  
Natchnęła, Gyllis, żeś nas odwiedziła?  
Rzadko się jawisz, niby bóstwo ludziom —  
Już z pięć miesięcy chyba upłynęło,  
Odkąd, na Mojry, nawet we śnie ciebie  
Nie oglądałam, Gyllis, w moich progach.

GYLLIS

Mieszkam daleko, dziecię, a na drogach  
Błocko do kolan prawie sięga, jam zaś  
Słaba, jak mucha — Wzdy mię brzemię czasu  
Ciągnie ku ziemi i śmierć idzie za mną.

METRICHE

No, no, odwagi! A o tem brzemieniu  
Nie pleć mi wciąż — i innych ono gniecie.

GYLLIS

Kpij sobie zdrowo! U was, młódek, przecie  
Taki zwyk —

METRICHE

Ależ... nie gniewaj się zaraz!

## GYLLIS

(zmieniając ton)

Lecz, moja córuś, jakże to już długo  
Twego wdowieństwa, odkąd się samotnie  
Przewracasz z boku na bok w pustym łóżku?...  
Kiedyż twój Mandris fruwał do Egiptu?  
Toć już dziesiąty minął miesiąc — on zaś  
Nie pisze słówka, zgoła swej Metrichy  
Przepomniął: insze wabią go kielichy...  
Nie dziwno: Egipt toć to włość bogini!  
Wszystko, co jeno świat ten płodzi, czyni,  
Kwitnie w Egipcie: bogactwo, igrzyska,  
Moc, blask pogody, sława, widowiska,  
Mędrzy, dworacy, złotogłów, klejnoty,  
Świątynia bożej pary, władca złoty\*),  
Muzeum, wino — słowem: wszelka błogość,  
O jakiej śniesz — a kobiet taka mnogość,  
Iż nawet niebo, na Hada kochankę,  
Taką ci chmarą gwiazd się nie poszczyci —  
A śliczne, wabne, jak one boginie,  
Co to, skłócone o palmę piękności,  
Szły do Parysa — (*do publiki*) Niechże mnie nie słyszą!... —  
A ty, niebogo, co ciebie urzekło,  
Iż grzejesz krzesło? Ani się obejrzysz,  
Jak przyjdzie starość i zwiędnie uroda.  
Sterujże w inną stronę i swe myśli  
Na dwa lub trzy dni odmień i wesoło  
Zabaw się z wesołymi... Toli statek,  
Utwierdzon tylko na jednej kotwicy,  
Nie jest bezpieczny. Gdy zły gość\*\*) zawita,  
By wieść nas precz — bogdaj nas nie nawiedzał! —  
Wówczas ci będzie żal — Nieraz ponury  
Grom huczy z nieba, choć jasne lazury,  
A nikt przyszłości nie zna. Ach, niestała  
Ta dola nasza —

## METRICHE

Nie rozumiem —

## GYLLIS

(ciszej)

Niemaż

Tutaj nikogo?

\*) Ptolomeusz Filadelfos, wielki mecenas sztuk i nauk, panował mniej więcej od r. 270 przed Chr. Na cześć jego i jego siostry, którą pojął za żonę, zbudowano w Aleksandrii wspólną świątynię.

\*\*) T. j. śmierć.

## METRICHE

Niema.

### GYLLIS

Posłuchajże,

Z jaką nowiną śpieszę tu do ciebie:  
Syn Metakiny, wnuk Patajkiona,  
Gryllos, pięćkrotny zwycięzca w zapasach —  
Już, jako chłopiec, w Delfach, zaś w Koryncie  
Dwa razy młodych junaków i w Pizie  
Dwa razy żrałych mężów zmógł na pięści —  
Bogacz nielada i nie z tych, co ździebko  
Podnoszą z ziemi — a dla Afrodyty  
Nietknięty owoc! — kiedy cię obaczył  
W świętym pochodzie Mizy\*), zaraz poczuł,  
Iż krew mu kipi w żyłach — grot miłości  
Przeszył mu serce... Odtąd, drogie dziecię,  
Nie wygnać go z mej chaty: dniem i nocą  
Błaga i płacze i schlebia i głaszcze,  
Słowem: doznaku umiera z tęskności...  
Owoż, Metriche, gołąbko ty moja,  
Zwól na ten jeden grzeszek... zrób to dla mnie!  
Hołduj bogini\*\*), bo starość złem okiem  
Gotowa spojrzeć zniecka na ciebie —

*(ciszej)*

Podwójną korzyść odniesiesz: zażyjesz  
Najsłodszych pieszczot — i kapnie ci więcej,  
Niż myślisz... Rozważ sobie i posłuchaj —  
Na wszystkie Mojry, ja ci dobrze życzę...

## METRICHE

*(tłumiąc oburzenie)*

Słysz, Gyllis: „białe włosy, słaby rozum“ —  
Tak powiadają. Na powrót Mandrisa  
I cną Demeter, gdyby inna tutaj  
Przyszła z czemś takim, nie zniosłabym tego!  
Oj, musiałaby na swych chromych gnatach  
Chromo tańcować i próg moich odrzwi  
Uważać odtąd za swoje nieszczęście...  
Ty zaś, kochanie, nigdy mi nie przychodź  
Z takim towarem, a swe brednie, godne  
Starych kumoszek, szep taj młodym dziewczkom.  
Córa Pythesa, Metriche, w spokoju

\*) Bogini, spokrewniona z Korą, niejednokrotnie wspomniana w związku z tajemnymi kultami okresu hellenistycznego.

\*\*) Bogini miłości, Afrodycie.

Niech „grzeje krzesło“... — A z mego Mandrisa  
Wara kpić komukolwiek —

*(ochłonawszy, łagodniej)*

Lecz, jak mówią,  
Gyllidy „mądrej głowie dość na słowie“ —

*(do niewolnicy)*

Threisso, wytrzymaj konchę i napełnij  
Po brzegi czystem winem, dolej parę  
Kropelek wody i daj nam do picia,  
Jak się należy —

THREISSA

*(podaje puhar z muszli pełen wina)*

METRICHE

*(bierze puhar i podaje Gyllidzie)*

Pij, Gyllis —

GYLLIS

Z ochotą —

*(pije)*

Wierz mi, nie przyszłam tutaj, by cię kusić,  
Lecz, że to święto —

METRICHE

I dlatego, Gyllis,  
Krzepisz się dzisiaj mojem najprzedniejszym.

GYLLIS

Oby ci hojnie wypełniało tłocznię!

*(wychyla puhar)*

Wyborne, na Demetrę! Och, słodszego,  
Niż u Metrichy, Gyllida nie piła —  
Lecz ostań zdrowa, córuś, śpij bezpiecznie  
W swych murach...

*(odchodząc, do publiki)*

Mnie zaś nadal niech Myrtala  
I Sime \*) kwitną, pokąd jeszcze dycham.

*Przełożył z greckiego oryginału*

**JÓZEF JEDLICZ**

---

\*) Inne damy z Kos, klientki Gyllidy.

# PO TAMTEJ STRONIE RAMPY

## Pocałunek w teatrze

*Napisał*

*CHEVALIER DE FAUX-PAS*

— — — Kurtyna spada z wolna...

Jeżeli „Jego“ pocałunek jest gwałtowny, żywiołowy i namiętny, jeżeli barki „Jego“ prężą się przytem i nabrzmiewają ku górze, jeżeli — „kocham cię, Heleno!“ — powiedział głosem niskim, zdławionym i drżącym, głosem, od którego biegną słodkie ciarki po atlasowych plecach pań i w rasowe, drobne kolana wstępuje najrozkoszniejszy bezwład, jeżeli wogóle jest takim typem, któremu się śpieszy i który ma się też z czem śpieszyć — wtedy kurtyna spada szybko.

Jest to już jednak tylko różnica w nastroju. W każdym razie kurtyna powinna spaść — jest czas na trzeźwe poczucie rzeczywistości.

Albowiem wszystko, co potem przychodzi, może się dziać jedynie naprawdę — całkiem naprawdę. Tem samem nie może się już na scenie dziać inaczej, jak za spuszczoną kurtyną i dla prywatnej przyjemności aktorów, ale to już znowu nie obchodzi nas. Teatr jest paradoksem bardzo precyzyjnym — polega na absolutnem dziewictwie iluzji. Rzeczywiste jest w nim wszystko tak długo, jak długo jest tylko możliwe — z chwilą, gdy staje się naprawdę, niszczy w nim rzecz istotną: rzeczywistość dziewictwa.





Po owym pocałunku powinna kurtyna spaść, albowiem w dalszej akcji możliwy jest już tylko osławiony szereg spraw drażliwych, najrzeczywistszych, a przedziwnie paradoksalnych, jako że mając największe znaczenie społeczne, są najbardziej prywatne i tak sypialniane, że nie posiadają nawet salonowej nazwy.

Kiedy po najważniejszym pocałunku — owym pięknym rymie dramatu, jednocześnie męskim i żeńskim, a na scenie, niestety nijakim — spada kurtyna, symbolizuje ona tem samem fakt, że dwa najpiękniejsze akty dramatu — akt żeński i akt męski, oba w życiu czasami nijakie — ułożyć się mogą w najciekawszą scenę jedynie za zasłoną, tak szczelną, że posiada tylko jedną dziurkę, a i ta pozwala jedynie jedno widzieć — widownię.

Otóż ze stanowiska autorskiego — pocałunek w teatrze, oczywiście ten pierwszy pocałunek, o którego możliwość chodziło wszystkim od początku, jest pointą niesłychanie silną. Należy jej używać rzadko i ostrożnie.

Oslabić ją może najskuteczniej jedna rzecz — następny pocałunek, a utrzymać w efekcie jedna jedyna pointa, jeszcze silniejsza i bardziej niezawodna — kurtyna, t. zn. początek brutalnej rzeczywistości. Cokolwiek innego dzieje się po tem, jest to rzecz zła, chyba, żeby wszedł „Jej“ mąż.

Każdy mąż bowiem a w szczególności „Jej“ mąż symbolizuje ową brutalną rzeczywistość jeszcze lepiej niż kurtyna.

Ze względu na „Nią“ mąż jest wogóle podobny do kurtyny. Cały czas wisi nad „Jej“ głową i przerywa „Jej“ najważniejszą rzecz w pośrodku — przepraszam, wyraziłem się źle: kurtyna spuszcza się, mąż zaś wpada na scenę, w chwili, gdy „Ona“ jest najbardziej godna widzenia. W antraktach rzeczywistości widzi on tylko jedno — to, że na niego wszyscy patrzą. Z tyłu jest ślepy: nie widzi, że go „Ona“ poza plecyma zdradza — naprawdę — —

Toteż tylko ze względów na technikę autorską jest mąż — po owym pocałunku — momentem bardzo korzystnym. Pocałunek stwarza na scenie sytuację bez wyjścia, wobec czego możliwe jest jeszcze tylko wejście: Wchodzi mąż i robi scenę.

Pocałunek w teatrze jest dla widza efektem kłopotliwym, chyba, żeby widz był równocześnie *voyer'em* — tego nie można od każdego żądać. W innym wypadku działa pocałunek w teatrze na widza tak samo, jak wogóle oddziaływa wykonywanie wszelkich miłosnych praktyk na osoby trzecie, wzgl. czwarte, niezainteresowane czynnie i osobiście w grze — t. j. żenująco-niesmacznie.

Widz na galerji ratuje się przed zażenowaniem, tem, że w chwili „Ich“ pocałunku, głośno cmoka wargami. Tem samem identyfikuje się z „Nim“, wzgl. z „Nią“. Widz z pierwszych rzędów nie cmoka wargami nawet wtedy, kiedy całuje naprawdę. Powinno mu się przeto pozostawić, jako ratunek, świadomość, że pocałunek w teatrze jest udany.

Pocałunek w teatrze jest zresztą dla widza rzeczą nieistotną — jest on tylko zapowiedzią antraktu konsekwentnej rzeczywistości i tylko, jako taki może być interesujący. Widz spodziewa się po nim przedewszystkiem tego, że można się będzie czegoś spodziewać — po nim. To, co jedynie może nastąpić po prawdziwym pocałunku, jest niemoralne — i dlatego staje się też prawdziwy pocałunek w teatrze rzeczą niemoralną.

Pocałunek w teatrze powinien być udany i to tak, aby każdy widz mógł udanie dostrzec. Powinien być symulowany tak moralnie, aby w najśmielszych wyobrażeniach widza, jedno tylko mogło jeszcze po nim przyjść: pocałunek prawdziwy. Wtedy pocałunek prawdziwy może się stać tem wszystkim, czem po nim staje się rzecz drażliwa zza kurtyny.

Pocałunek udany stwarza efekt spuszczonej kurtyny, przy otwartej scenie.

---

Jeżeli pocałunek w teatrze powinien być udany, musimy dodać — powinien być udany dobrze, jaknajlepiej. Z tą chwilą sam fakt pocałunku w teatrze staje się rzeczą nieistotną — najistotniejszą staje się jego udanie: Gra.

Dochodzimy do smutnego wyniku: cały powyższy feljeton był właściwie zbyteczny. Zasadniczy problem jest inny. Tytuł jego powinien brzmieć:

„TEATR W POCAŁUNKU“...





Hektor Boetius, dziejopis szkocki, pod koniec ósmej księgi swojej „Historji Szkockiej“ opowiada: W r. 1486 kilku kupców żeglowało ze Szkocji do Holandji. Nagle napadła ich straszliwa burza, która ich wzięła w takie obroty, że zdawało się, jakoby już szli na samo dno Oceanu. Powietrze było zmieszane, chmury czarne i gęste, słońce utraciło całą swą jasność. Nikt nie wątpił, że to wszystko jest dziełem szatana i ta myśl pogrążała biednych ludzi w tem głębszej rozpacz. Na domiar złego na statku znajdowała się kobieta, która, widząc tak wielkie zamieszanie i strach, jęła wyznawać swą winę i oskarżać się, że od dłuższego czasu znosi djabła-inkuba, który ją nawiedza i prosiła, by ją wrzucili do morza, gdyż czuje się okrutnie grzeszną. Na statku jednak było dość katolików, a między nimi jeden ksiądz i ten ją wyspowiadał i do lepszej nadziei nawrócił. W tej samej chwili, gdy jej udzielił rozgrzeszenia, obecni ujrzeli, jak ze statku wzniosła się w górę gęsta mgła i dym z ogniem, poczem niebo się zaraz wypogodziło.

\* \* \*

#### PRZYGODA RYCERZA GRAÉLENT.

Blisko miasta był gęsty las, przez który płynęła rzeka. Rycerz Graélent szedł tamtędy zadumany i smutny. Gdy tak błędził przez jakiś czas pod konarami drzew wysokich, ujrzął w krzakach białą lanię, która za jego zbliżeniem się, poczęła uciekać. Ścigał ją bez nadziei schwywania, aż wybiegł na leśną polanę, gdzie płynął strumyk przejrzysty. W pobliżu pluskała się panienka całkowicie naga. Widząc ją taką zgrabną, radosną, wdzięczną i białą, Graélent zapomniał o lani. Panna spodobała mu się bardzo, więc prosił ją o miłość. Prośby nie pomagały. Wtedy rycerz zaciągnął ją przemocą w głąb lasu, uczynił z nią wedle swego pragnienia, poczem błagał, by się nie gniewała. Obiecał, że kochać ją będzie wiernie i nigdy nie porzuci.

— Graélent! — rzekła — mimo, że napadłeś na mnie znienacka, nie będę cię przez to mniej kochać. Lecz zabraniam ci rzec choćby słówko, któreby wydać na jaw naszą miłość. Dam ci dużo pieniędzy i piękne a bogate suknie. Jesteś dzielnym rycerzem, a przytem urodziwym.

W wielkiej radości przeżył Graélent do ostatka dni swoich.

[Marie de France, XIII wiek].

\* \* \*

Arderay poprzysiął przed majestatem króla, że Amiles zhańbił córkę królewską. Amiles zaprzysiął, że Arderey kłamie. Rzucili się więc ku sobie i bili się aż do nocy. Arderey legł pokonany i Amiles odciął mu głowę. Król smucił się, że utracił Ardereya i cieszył się, że

córka jego została obmyta ze wszelkiej plamy. Oddał ją tedy w małżeństwo rycerzowi Amiles, wraz z wielką sumą pieniędzy w złocie i srebrze. Amiles stał się trędowatym z woli Wszehmocnego. Żona nie mogła nań patrzeć. Kilkakrotnie próbowała go zadusić, wreszcie weszła do klasztoru i poświęciła się Bogu.

[Cent Nouvelles nouvelles du roi Louis XI].

\* \* \*

#### STUDNIA FOREMNA.

Pod wysokiem pagórkim i kępą krzewistą  
Jest studzienka, która ma wodę przeźroczystą.  
Z obu stron para słupów u źródła wstawionych:  
Z alabastru białego kształtnie utoczonych.  
Tam dnem bystrym wypada źródł ciekącej wody,  
Który wkolo sadzono napawa ogrody.  
Do tej studni po wodę wielu ludzi chodzi,  
Lecz trudny do niej przystęp nie wszystkim wygodzi,  
Bo kto chce dosięc, musi póki stawa szyja,  
Wrazić się, — tak dopiero z onej się napija.  
Więc, iż nie każdy może tak nachylić kości  
Wielkie onym ta studnia zedaje trudności.  
Starym tam z niej pić trudno, bo i głowa w mierze  
Nie stoi i we grzbiecie niechybkie pacierze.  
Dzieciom także, bo choć te młode kości mają,  
Przez krótkość swojej szyje, pić nie dosięgają  
Owo kto niema według proporcyej jej szyje  
Sięgając tej tam wody trudności zażyje.

Jakób Teodor Trembecki: „Wirydarz poetycki“  
(Wydanie zupełne Polskiej Akad. Umiej.)

\* \* \*

Trzy rzeczy są od młodych ludzi naganione:  
Rękawice, trzewiki, kiedy są przestronne,  
Ale trzeciej nie powiem, bo za temi słowy  
Gniewałyby się na mnie bardzo białogłowy.

Jakób Teodor Trembecki: „Wirydarz poetycki“  
(Wydanie zupełne Polskiej Akad. Umiej.)

---

Okładkę 3-go numeru projektowała AUCJA HALICKA

---

Redaktor naczelny: BRUNO JASIEŃSKI

---

REDAKCJA I ADMINISTRACJA CENTRALNA: Lwów, Zimorowicza 5. Telefon 13-13.

ODDZIAŁ w Warszawie: ul. Szpitalna 3, telefon 93-19.

REDAKCJA w Krakowie: telefon 215.

KONTO CZEKOWE W P. K. O.: Tow. Wyd. „Ateneum“ Nr. 152.683.

# T R E Ś Ć

numeru 3 - go

	str.
I - SZY KONKURS „WINNICY“ . . . . .	3
HENRYK ZBIERZCHOWSKI: „Liliput“ . . . . .	5
GUILLAUME APOLLINAIRE: „Zniknięcie Honorjusza Subraca“ . . . . .	7
HANNS HEINZ EWERS: „Kolekcja guzików“ . . . . .	11
JAN PARANDOWSKI: „Historja prowansalska“ . . . . .	14
IGOR SIEWIERIANIN: „Karetka kurtyzantki“ . . . . .	18
* * *	
CLAUDE FARRÈRE: „Chiński wachlarz“ . . . . .	19
* * *	
CLAUDE FARRÈRE: „Trzydzieści sekund“ . . . . .	22
* * *	
ILJA ERENBURG: „Przygoda Anatola France'a“ . . . . .	27
ILJA ERENBURG: „Ostatni film“ . . . . .	29
KINO „WINNICY“: „Wampir“ serja I . . . . .	40
* * *	
KINO „WINNICY“: „Jedyny cud Cagliostro“ . . . . .	42
PIOTR PAWEŁ FOUR: „Buduary“ . . . . .	43
JÓZEF JEDLICZ: „O kabarecie starogreckim“ . . . . .	46
HERONDAS: „Rajfurka“ . . . . .	49
CHEVALIER DE FAUX-PAS: „Pocałunek w teatrze“ . . . . .	54
CURIOSA . . . . .	58

Ilustrują: ALICJA HALICKA, KAZIMIERZ TOMOROWICZ, WOJCIECH WEISS. — — — — — Okładkę projektowała ALICJA HALICKA.

„APOLLO“      TEATR  
                    ŚWIETLNY      „APOLLO“  
LWÓW, UL. CHORAŹCZYŃNY 8  
WYŚWIETLA PIERWSZORZĘDNE OBRAZY FILMOWE.

## CZY CZYTAŁEŚ JUŻ NR. 1 i 2 „WINNICY“?

### Treść Nr. 1 „WINNICY“:

KORNEL MAKUSZYŃSKI: . . . . .	„Winnica“.
ROMAN CZARSKI: . . . . .	„Kwiaty“.
ADOLF NOWACZYŃSKI: . . . . .	„Prababka Paneuropy“.
CLAUDE FARRERE: . . . . .	„Czarodziejska różdżka Circe“.
RAMON GÓMEZ DE LA SERNA: . . . . .	„Piersi“.
REMY DE GOURMONT: . . . . .	Z cyklu „Kolory“: „Różowy“.
IGOR SIEWIERIANIN: . . . . .	„To się stało nad morzem“...
BRUNO WINAWER: . . . . .	„Lepsze czasy niżli teraz są...“.
ILJA ERENBURG: . . . . .	„Fajka E. X. 4.“.
HEYWOOD BROWN: . . . . .	„Rozsądek i cenzura“.
DE-MAGOG: . . . . .	„Łabędź i Leda“.
JAN PARANDOWSKI: . . . . .	„Kłopoty miłosne dwojga greckich dzieci“.
FUTURUS: . . . . .	„Ekloga“.
ARKADJUSZ AWERCZENKO: . . . . .	„Klucz“.
GEORGES AURIOL: . . . . .	„Pani Dusantoir?“.
SZER-SZEŃ: . . . . .	„Werilla“.
KAZ. JUNOSZA-STĘPOWSKI: . . . . .	„O donżuanizmie i kobiecie“.
ANATOL STERN: . . . . .	„Nagość na ekranie“.
S. P.: . . . . .	„Sennik Egipski“.
FRANZ BLEI: . . . . .	„O zazdrości męskiej“.
CURIOSA.	

Ilustrują: WOJCIECH WEISS, KISLING, FELIKS KRASSOWSKI, KAZIMIERZ TOMORÓWICZ i inni. — — Okładkę projektował: FELIKS KOWARSKI.

### Treść Nr. 2 „WINNICY“:

LUKIANOS Z SAMOSATY: . . . . .	„Winnica“
STANISŁAW WASYLEWSKI: . . . . .	„Jak pani Ogińska stała się księżną Walji?“
GUILLAUME APOLLINAIRE: . . . . .	„Marynarz z Amsterdamu“
PAULE VERLAINE: . . . . .	„Muszle“
JAN PARANDOWSKI: . . . . .	„Lais“
AUGUST ZAMOYSKI: . . . . .	„Paryż-Zakopane“
PITIGRILLI: . . . . .	„Garsonjera i twoje serce“
MARJAN HEMAR: . . . . .	„Ballada o jednym powieszonym“
TEFFI: . . . . .	„Fajfokłoki“
ANATOL KAMIŃSKI: . . . . .	„Cztery“
BRUNO JASIEŃSKI: . . . . .	„Żona księżycy“
SŁAW: . . . . .	„O mężczyźnie wogóle“
LUCIANO FOLGORE: . . . . .	„Z wysokości 15 metrów“
CHEVALIER DE FAUX-PAS: . . . . .	„Łabędź i Leda“
WŁODZIMIERZ GAJDAROW: . . . . .	„Do Czytelniczek „Winnicy“
CURIOSA.	

Ilustrują: T. AXENTOWICZ, FELIKS KOWARSKI, JACEK MALCZEWSKI, LEON WYCZÓŁKOWSKI. — Okładkę projektował FELIKS KRASSOWSKI.

KUPON

I KONKURS

»WINNICY«

KUPON

**NAKLADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO „ATENEUM“**

**OPUŚCIŁA PRASĘ SEKSACYJNA POWIEŚĆ**

**JAQUES'A DE LACRETELLE**

# **„SILBERMANN”**

Powieść ta odznaczona nagrodą „Femina“ odniosła w ostatnich kilku latach największy sukces księgarski, rozeszła się bowiem w samej Francji w przeciągu niespełna trzech lat w **80 wydaniach!** Sensacyjność „Silbermanna“ tłumaczy się aktualnością jego tematu, w którym są dzieje jednostki żydowskiej na tle społeczeństwa obcego i nierozwikłany problemat asymilacji, przedstawione przez wybitnego pisarza francuskiego ze zdumiewającym obiektywizmem i umiarem artystycznym. Książka Jaques'a de Lacretelle wywołała w kulturalnej opinii europejskiej duże zamieszanie. Jedni posądzali autora o wyraźne tendencje filosemickie, inni o... antysemityzm. Lacretelle potrafił wznieść się w tej powieści ponad animozje rasowe i narodowościowe, dając obraz konfliktów wstrząsających swą obiektywnością i epickim spokojem i pozostawiając sąd w tej sprawie i wniosek czytelnikowi. Książkę poprzedza niezmiernie interesujący wstęp najgłębszego krytyka naszego pokolenia, odnanzonego słusznie w roku bieżącym nagrodą wydawców OSTAPA ORTWINA, poruszający zawsze aktualny i palący problemat rasy i asymilacji.

# **AMERYKA-POLSKA**

**MIESIĘCZNIK LITERACKO-EKONOMICZNY**



**NOWELKI — OPOWIADANIA — OPISY  
PODRÓŻY — ŻYCIORYSY — SPRAWY WY-  
CHODŹCTWA — JAK AMERYKA PRA-  
CUJE — NAUK. ORGANIZACJA PRACY —  
FINANSE — REKLAMA — KINEMATOGRAF**

**Barwna artystyczna okładka, liczne ilustracje,  
160 szpalt druku.**

**Prenumerata: kwartalnie zł 7-50, półrocznie  
zł 14-—, rocznie zł 27-—. Numer pojedynczy  
zł 2-50.**

**ŻĄDAJCIE WSZĘDZIE! ————— PROSPEKTY DARMO!**

**REDAKCJA I ADMINISTR.: WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 72/74**

**Tel. 26—62. Konto P. K. O. 7136.**

**lub Księgarnia M. Arcta w Warszawie, Nowy Świat 35.**



# „TORPEDA”

MAGAZYN NIESAMOWITOŚCI I SENSACJI

Pozyskawszy, w charakterze współpracowników, cały szereg najwybitniejszych sił literackich, wychodzi nadal pod zmienioną redakcją i przynosi szereg nowel kryminalnych, niesamowitych i sensacyjnych najlepszych autorów europejskich.

OPUŚCIŁ PRASĘ NUMER 9, ZAWIERAJĄCY NASTĘPUJĄCE NOWELE:

## „TORPEDA”

- |                             |                               |   |
|-----------------------------|-------------------------------|---|
| GUILLAUME APOLLINAIRE . . . | „Najpiękniejszy film“         | 9 |
| ARKADJUSZ AWERCZENKO . . .  | „Samobójca“                   |   |
| G. K. CHESTERTON . . . . .  | „Trup w tajemniczym ogrodzie“ |   |
| ILJA ERENBURG . . . . .     | „Morderstwo przy ul. Alesia“  |   |
| HANNS HEINZ EWERS . . . . . | „Jak zaręczył się Arno Falk“  |   |
| CLAUDE FARRÈRE . . . . .    | „Fetysz“                      |   |
| BRUNO JASIEŃSKI . . . . .   | „Klucze“                      |   |
| JACK LONDON . . . . .       | „Podwójne życie J. WARDA“     |   |
| GUSTAW MEYRINK . . . . .    | „Fioletowa śmierć“            |   |
| PAUL VERLAINE . . . . .     | „Ręka kapitana Müllera“       |   |

„TORPEDA“ jest najtańszym w Polsce i najbardziej zajmującym miesięcznikiem powieściowym. Cena pojedynczego numeru objętości 80 stron dużego formatu obficie ilustrowanych — — — 1 zł 50 gr. Przenumerata kwartalna wraz z przesyłką pocztową — — 4 zł 50 gr.

Redakcja i administracja centralna: Lwów, Zimorowicza 5

Telefon nr. 13-13. — — — — Konto czekowe w P. K. O. Nr. 152.814.

Żądajcie wszędzie!

Żądajcie wszędzie!

# „SZCZUTEK”

NAJWIĘKSZY I NAJSTARSZY W POLSCE  
TYGODNIK SATYRYCZNO - POLITYCZNY.

WSPÓŁPRACOWNICY W DZIALE LITERACKIM:

BENEDYKT HERTZ, BRUNO JASIEŃSKI, JAN LECHOŃ,  
SEWERYN PRZYBYLSKI, W. RAORT, SŁAW, JULJAN  
TUWIM, BRUNO WINAWER, WEL, JAN ZAHRADNIK,  
A. ZAGÓRSKI I WIELU INNYCH.

WSPÓŁPRACOWNICY W DZIALE MALARSKIM:

MAJA BEREZOWSKA, Z. CZERMAŃSKI, TADEUSZ GRO-  
NOWSKI, GRUS, F. KLEINMAN, ZOFJA STRYJEŃSKA,  
ST. ŚWIDWIŃSKI I WIELU INNYCH.

Redaktor naczelny: HENRYK ZBIERZCHOWSKI.

Redaktor na Warszawę: J. FR. GAWLIKOWSKI.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

L W Ó W, SENATORSKA 6.

12 STRON DRUKU.

12 STRON DRUKU.

WSZĘDZIE DO NABYCIA.



P.T.  
573

LIQUEURS



MAISON

17

FONDÉE EN

82

*L. Lan*  
1905

J. A. BACZEWSKI  
LWÓW